Nr. 18 Rok 5 Kraków, dnia 30 kwietnia 1944. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI

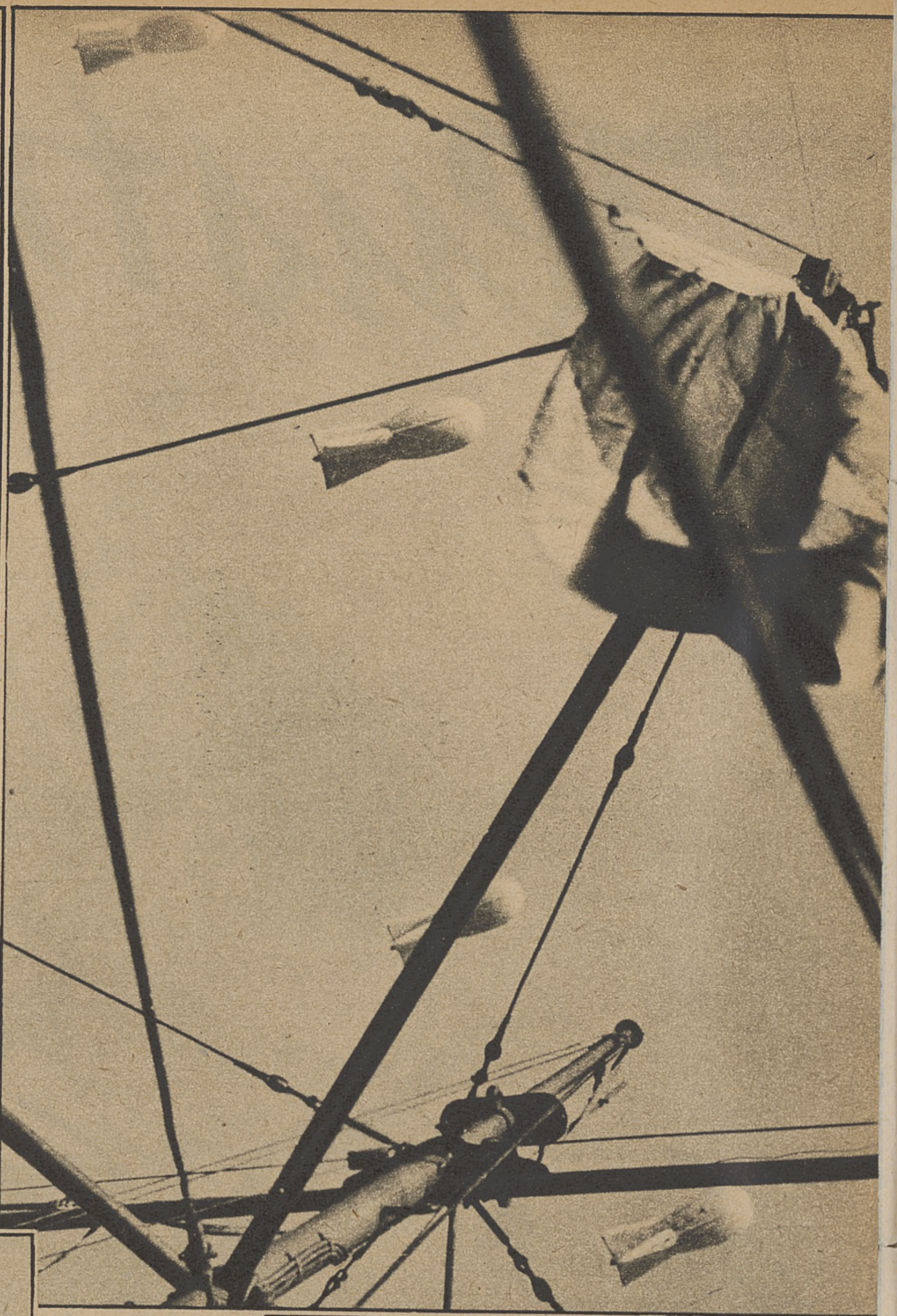


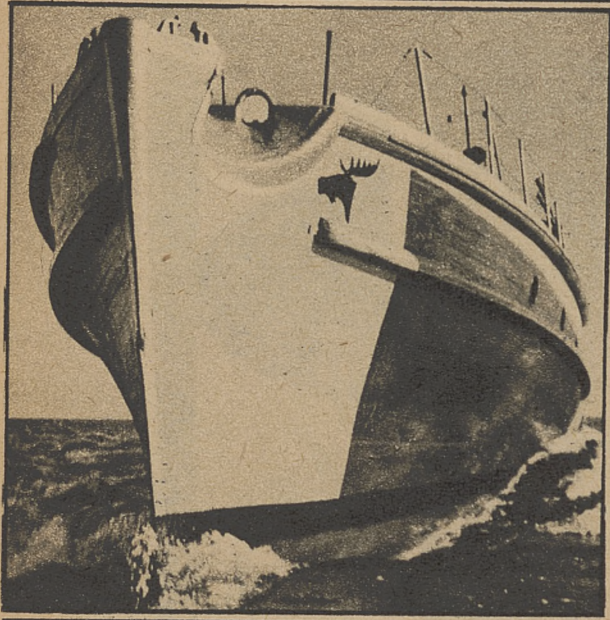
Pogwarka pod hiszpańskim słońcem

Fot. Witzleben i Peters

TYGODNIK WOJENNY







Powyżej:

KONWÓJ NIEMIECKI NA MORZU PÓŁNOCNYM

Parowce należące do konwoju i statki ubezpieczające go ustawiają się podczas jazdy w pewnym stałym, dokładnie i najzupełniej już wypróbowanym szyku. Ponad okrętami unoszą się balony zaporowe. Żołnierze płynący na przednich łodziach strażniczych stoją w pogotowiu przy swych działach.

Na prawo:

SPOJRZYJMY W GÓRĘ

Wysoko ponad szczytami masztów unoszą się balony zaporowe, które stanowią ochronę konwoju przed nieprzyjacielskimi samolotami.

Na lewo:

ŁÓDŹ OCZYSZCZAJĄCA PRZEDPOLE

Jeden z szybkich i zwrotnych małych niemieckich statków, które torują dużym okrętom drogę przez nieprzyjacielskie pola minowe.

Fot: PK Hirsche, Scheerer, Rieder Atl. Eimke, Figehuber-PBZ, Hubner-Sch., Atl.-OR.



Na lewo:

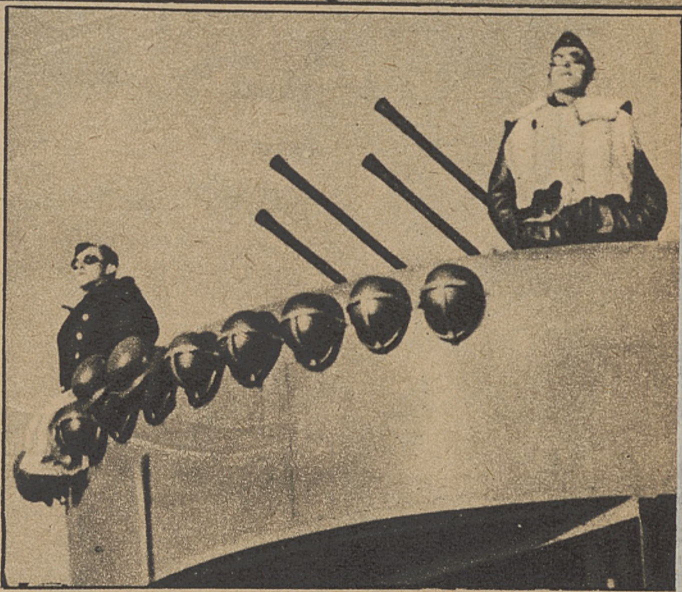
Z FRONTU WŁOSKIEGO

Niemieckie działo obrony przeciwlotniczej w akcji.

Na prawo:

NA WODACH OCEANU LODOWATEGO PÓŁNOCNEGO

Obrona przeciwlotnicza na niemieckim okręcie wojennym. Marynarze bez przerwy obserwują horyzont.







Na lewo:

CIĘŻKI KALIBER

Ustawianie na pozycji ciężkiego działa niemieckiego. Artylerzyści muszą wytężyć wszystkie siły, by paszczę tego olbrzyma skierować na pozycje nieprzyjacielskie.

Powyżej:

WOJNA W BURMIE

Japoński patrol idzie przez dżunglę. Siatki przeciw moskitom chronią twarze żołnierzy przed ukąszeniem tych febronośnych owadów

9000 kilometrów po szynach od wyspy do wyspy

Fot: Seiler



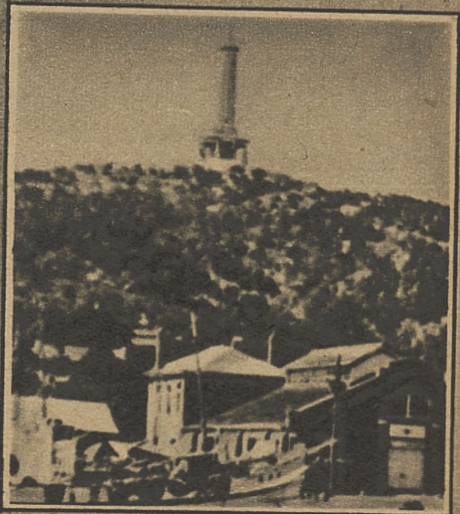
Duży dom towarowy w śródmieściu Tokio, nowoczesnej stolicy Japonii i zarazem początkowej stacji gigantycznej kolei do Szonan.



Dżonki na Jang-tse-kiang. Rzeka ta, o 5100 km długości jest najpotężniejszą w Azji. Obecnie po raz pierwszy rozpoczęło na niej budowę mostu kolejowego.



Tokio, stolica Japonii i największy port południowej Azji — Singapur (obecnie nazwany Szonan) to dwa ważne ośrodki światowego handlu. Miasta te dzieli przestrzeń 5 i pół tysiąca kilometrów, mierzona linią powietrzną. Nic też dziwnego, że komunikacja między tymi miastami jeszcze dziś jest połączona z dużymi trudnościami i odbywa się przeważnie w dość kłopotliwy sposób drogą przybrzeżnej żeglugi morskiej. Przedsiębiorczy duch ludzki stworzył już dawniej projekt połączenia lądowego tych ważnych centrów handlowych; a co więcej, śmiały ten pomysł — długość linii kolejowej Tokio-Szonan wynosi przecież 9000 km — obecnie w znacznej mierze został zrealizowany. Do całkowitego ukończenia tej trasy brakuje zaledwie jakieś 800 do 900 kilometrów. Jak jednak wynika z planu, czekają inżynierów jeszcze trzy trudne zadania do zrealizowania, a mianowicie przeprowadzenie mostu kolejowego przez szeroką i zupełnie nieuregulowaną rzekę Jang-tse-kiang oraz wybudowanie dwóch podmorskich tuneli; jednego z Szimonoseki aż do południowego przylądka półwyspu Korea, a drugiego z Portu Artura do Szantungu. Długość tego ostatniego ma wynosić 100 kilometrów. Należy zaznaczyć, że południowo-mandżurskie Towarzystwo Kolejowe rozpoczęło już wstępne prace nad budową owych projektowanych tuneli.



Port Artura stanowi jedną z najważniejszych stacji nowej linii kolejowej.

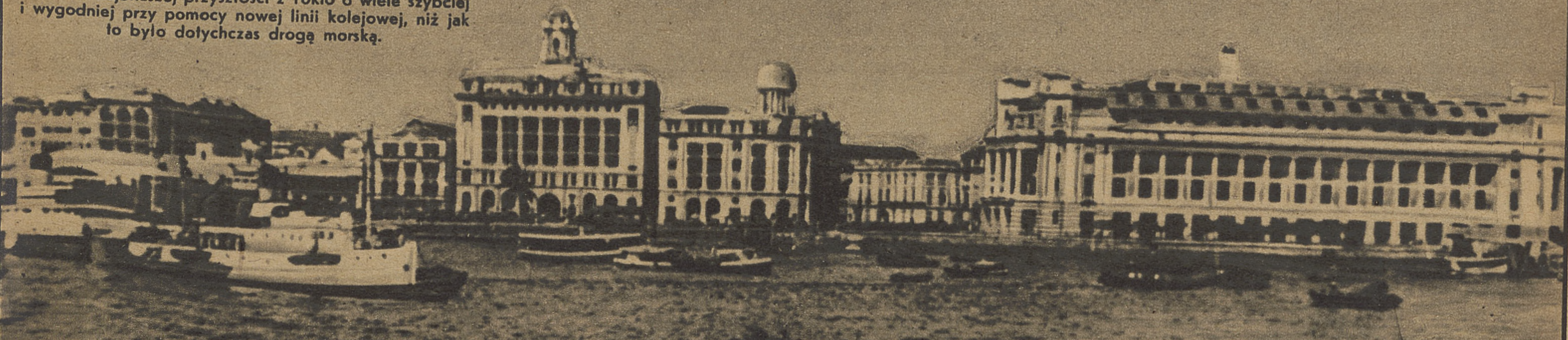


Krajobraz południowo-chiński. Jednym z uroków podróży tą trasą jest ciągła zmiana widoków; kolej biegnie to przez obszary posiadające pewną kulturę gospodarczą, to znów puszczą nietkniętą ręką człowieka.



Indochińscy wieśniacy orzą pole ryżowe. Na dalszym planie widoczny tor kolejowy, po którym biegną pociągi z Chin w kierunku Sjamu.

Poniżej:
Do Szonan, dawniejszego Singapur będzie się można dostać w najbliższej przyszłości z Tokio o wiele szybciej i wygodniej przy pomocy nowej linii kolejowej, niż jak to było dotychczas drogą morską.



Na prawo: **ŁADNY BUZIAK, O — TAM!** Aż się „samo prosi", by wycelować i trafić jak amen! Co? Że to niegrzecznie zaczepiać w ten sposób młodziutkie damy? A to czemu ona taka ładna?

Obok: **ZA CHWILECZKĘ JUŻ POJADĄ!** Z numerami na plecach pognają wnet cykliści poprzez dziury, schody i zakamarki Montmartre.

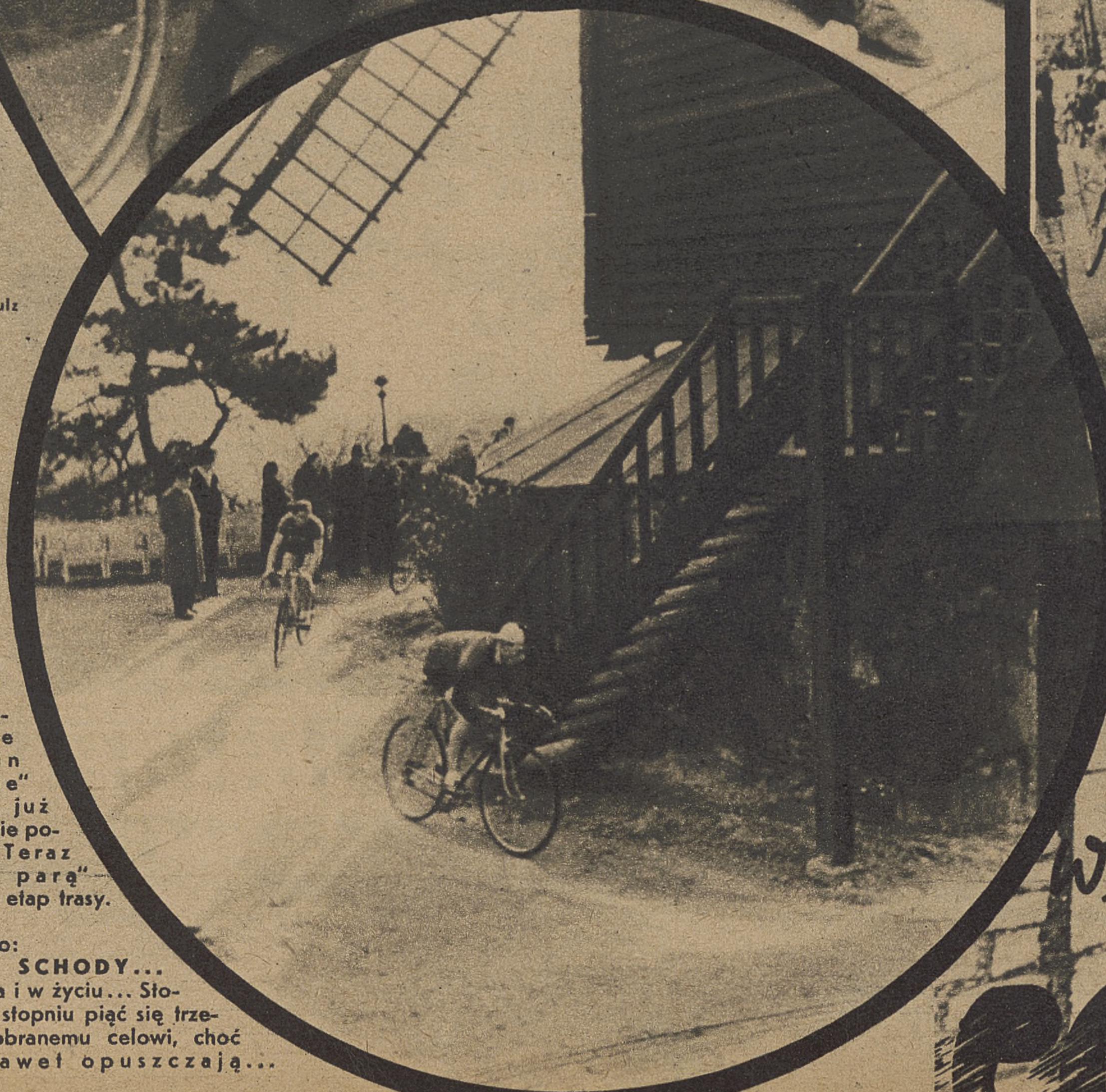






Jeszcze nie obeschła dobrze ziemia w podmuchach wiosennego wietrzyku nie obsypały się jeszcze zielenią gałązki, — a zapaleni miłośnicy sportu kołowego już nie mogli spokojnie usiedzieć... Możliwe, że we Francji, — bo tam na moment przeniesiemy się myślą — było już wcześniej tak ciepł i ładnie, jak u nas onegdaj. Dlatego też, jak zwykle każdego roku o tej wła śnie porze, odbyły się z ramienia wielkiego paryskiego dziennika śródmiej skie wyścigi rowerowe pod hasłem „Na przełaj przez Montmartre". Bie ten, to nie bylejaki wyczyn sportowy! Toć nie żadne „wirażowanie" po gład kim torze wyścigowej bieżni, to nie jazda po równych, wyasfaltowanyc szosach podstołecznych. „Gwoździem" takich zawodów jest arcytrudna we drówka zawodników z dosłownie, rowerami na plecach poprzez liczne schod i tarasowate łączenia ulic Montmartre'u. Aż do wysoko położonego kościoł „Sacre Coeur" drapać się muszą cykliści, by odbyć „bieg z przeszkodami tak bardzo wyglądany zawsze przez Paryżan i takim zawsze cieszący si wzięciem. Zawody organizowane są dla dwóch grup: dla zawodowców i d młodzieży. Listy startujących są rozchwytywane gorączkowo. Każdy m przecież swojego „kogoś", komu życzy laurów zwycięzcy i na którego staw zakład... Zwłaszcza młodociani entuzjaści wyścigów od północy już nie śp i skoro tylko świt — gromadzą się tłumnie na starcie. „Fachowo" rozważan są tam szanse poszczególnych zawodników i przychodzi nawet do zawzi tych sporów na tym polu. Nadchodzi arcyważny moment: rozdzielenie num rów, przypinanych na barkach rowerzystów lub w tyle na spodenkac Jeszcze ostatnie wskazówki dla wymasowanych i nakarmionych zawodn ków, a na dany znak rusza mrowie kolarzy z miejsca. Nacisk na peda rośnie. Tułów pochyla się nad kierownicą. Bieg rozpoczęty!

Fot: Apfel i Schulz



W CIENIU SKRZYDEŁ STAREGO WIATRAKA. Wzniesienie „Moulin Galette" zostało już szczęśliwie pokonane. Teraz „całą parą" w dalszy etap trasy.

Na prawo:
OJ, TE SCHODY... Tak bywa i w życiu... Stopień po stopniu piąć się trzeba ku obranemu celowi, choć siły nawet opuszczają...



wyścig Kolarsk PRZEZ MON

Na prawo: **UWAGA! OSTRY ZAKRĘT!**
O wypadek w wyścigowym tempie nie trudno. Zatem: ostrożnie, tym więcej, iż do mety już niedaleko.





U góry: **ZWYCIĘZCA TUŻ, TUŻ...**
Na bruk u mety padają już cienie nadjeżdżających zawodników... Za chwilkę tłum poniesie wysoko nad głowami bohatera dnia, zdobywcę pierwszego miejsca w wyścigu przez Montmartre.

W kole: **ZWYCIĘZCA**
Któż nie byłby dumnym, mogąc choć chwilę postać obok „sławy" rowerowej? Zadowolone miny mówią o tym same. A „sława"? Owszem, też zadowolona dzierży miejsce, „błogosławiona między niewiastami..."

Na prawo w kole: **W OTOCZENIU „GWARDII STRAŻNIKA MONT-MARTRE'U"**
Z naręczem kwiatów wspartym o zdyszaną pierś, zwycięzca biegu „robi sympatyczną twarz" do kamery prasowego sprawozdawcy.



COŚ TU NIE JEST W PORZĄDECZKU!
Ładny mi „wyścig rowerowy", gdy rowery trzeba taszczyć wciąż po schodach z ulicy na ulicę... O to właśnie chodzi! Na tym polega urok i sława wiosennego biegu kołowego z przeszkodami przez kapryśną trasę Montmartre!



-MARTRE

Poniżej: **NAPRZÓD! BIEG ROZPOCZĘTY!**
Od startu pnie się od razu trasa w górę.



Joasia ma wychodne...



Mocno, mocno trzeba uścisnąć towarzysza zabaw i serdecznego druha, co jeden rozumie Joasię . . .
Na prawo:
Joasia patrzy „z góry“ na wszystko i wszystkich, bo tak powinno się traktować natrętów . . . A jest ich dość ciągle przed klatką Joasi.





Patrzaj przyjacielu! Tak wygląda groźny goryl, gdy ryczy z bólu lub wściekłości . . . Czy może źle go naśladuję? Wszakże małpowanie, to moja specjalność przecie!



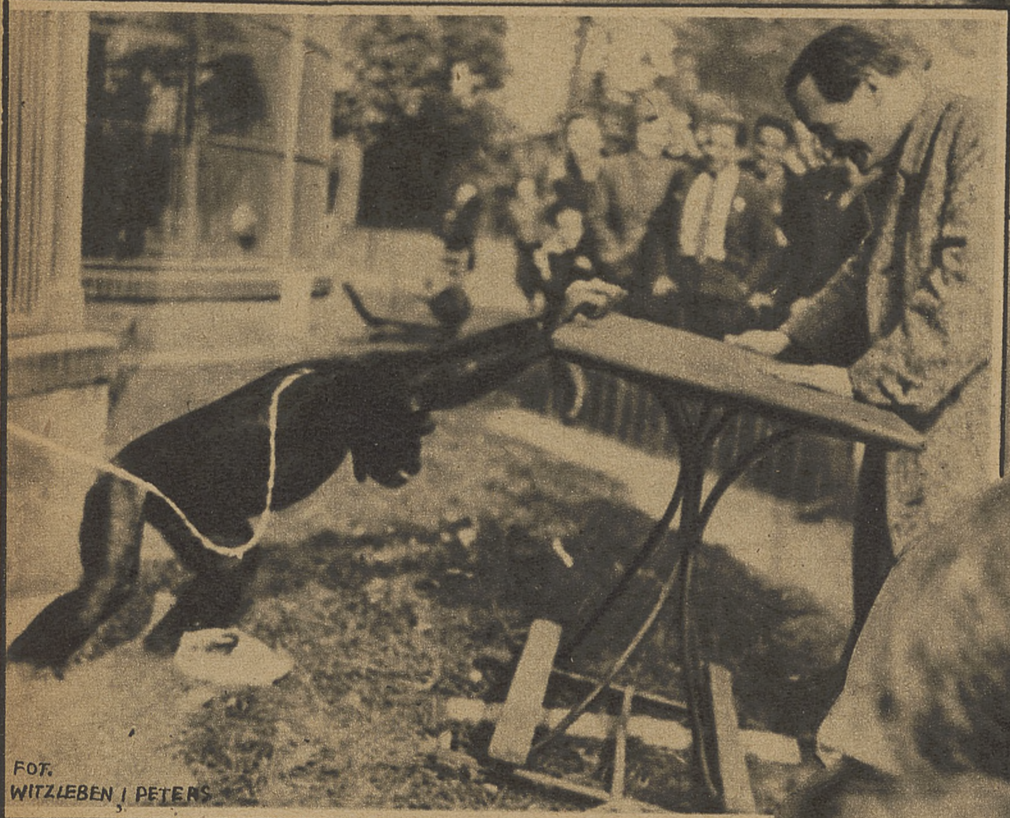
Przyjacielska dłoń zawsze coś dobrego przysposobi Joasi...

Poniżej:
Joasia idąc z postępem czasu, hołduje też ćwiczeniom gimnastycznym.



Za dwa dni znowu przyjdę do ciebie . . . więc ciesz się i czekaj na mnie . . .

Poniżej: Zmęczyłeś się przyjacielu zabawą ze mną... Wiem o tym. Obetrę ci uznojone czoło i poproszę, byś znowu przyszedł do mnie.



FOT. WITZLEBEN I PETERS

Bardzo mile i przyjemnie jest stać sobie w Zoo przed klatką z małpkami i przyglądać się ich figlom. Joasia, siedząca w klatce myśli sobie mniej więcej w ten sam sposób, tylko nieco ze swego punktu widzenia.

Bo „Joasia“, przynależna do szympansiego rodu, wolałaby zamiast być przedmiotem obserwacji — móc sama brać udział w emocjach zabawiania się kimś czy z kimś . . .

Klatka — jak klatka. Pięć kroków wzdłuż, trzy kroki wszerz, ot i ma ci być wesoło? Z czego, ludzie! A jeszcze dzieci są tak dokuczliwymi obserwatorami. Niejednokrotnie Joasia aż trzęsie prętami klatki ze słusznego gniewu . . . Wykrzywiają się jej, stroją do niej niemądre miny, jakby małpa była właśnie stworzona do tego, by ją wciąż tylko przedrzeźniać! I jak się nie złościć?

Co innego, gdy w ogrodzenie wejdzie przyjaciel osobisty Joasi, sam dyrektor Zoologu! Ten wie przynajmniej, jak powinno się odnosić do solidnej małpy i jak jej czas uprzyjemnić . . . Ale, nie każdy jest przełożonym Zoo, dlatego też Joasia z politowaniem spogląda na chmarę widzów stojącą przed jej pawilonem. Co oni tam mogą wiedzieć o psychice szanującej się małpy i o jej światopoglądzie. Wystarczy im, gdy się śmieją nieustannie — z czego? Z niej, z małpy! . . .

O, właśnie nadchodzi przyjaciel Joasi! Nie pcha patyków między pręty klatki ani nie daje pustych papierków po cukierkach.

Klatka już otwarta i Joasia jednym skokiem wypada na wolność ! . . .



Zagadka

napisała Marianna

(ciąg dalszy)

— Stop!! — prawie krzyknął z wrażenia Brunon — więc pan przypuszczasz, że ten pan był w którymś z mieszkań tego domu i kazano mu się stamtąd wynosić?!

A na kanwie pamięci odżył zaraz jeden fragment ostatniego wieczoru: . . . Ktoś dzwoni . . . Młoda kobieta idzie do drzwi . . . Rozmowa w korytarzu . . . Bynajmniej nie hałaśliwa, jak na rozmowę z pijakiem i na nieopanowaną jego namiętność. Ale powiedziała stanowczo, żeby odszedł, że jest u niej już ktoś inny właśnie on, Bruno . . .

. . . Jedna nić więcej prowadząca do rozwiązania zagadki? . . .

Tamten człowiek właśnie w okno mieszkania Iwonki tak tęsknie mógł spoglądać. Miał powody . . . A tam przy kominku siedział z nią on, Bruno, nieświadomy w jakim dramacie dano mu rolę . . .

— Takby to wyglądało. Miałem z nim sporo kłopotu. Póki płakał, to dobrze, ale gdyby tak zaczął śpiewać to spłoszyłby moich iluzorycznych kochanków, albo zbudziłby stróża a obydwaj nie mieliśmy wytłumaczenia dla naszej obecności nocą w tej kamienicy . . . Ale, panie Bruno, pójdę już, bo mam dyżur. Dziękuję za śniadanko. Dowiedział się pan wszystkiego, czego był ciekaw! Ja ze swej strony nie mogę odżałować i nie mogę się nadziwić, że pan i pani Wichertowa wcale nie . . .

— Panie Wioliński, czy nie mógłby pan przysłać do mojego stolika tego żałosnego kompana pana nocnych łowów? Wydaje mi się tak pijany, że będzie mu już wszystko jedno, przy którym stoliku zafundują mu jeden „głębszy". . .

Po chwili obok Brunona siedział człowiek z bladą twarzą i przepitym, bolesnym w zblazowaniu uśmiechem.

— Nie pytam, kto pan jest — bełkotał niezrozumiale — ale pan jesteś dobry człowiek, pan rozumiesz tragedię... a pan umiesz pocieszać . . . Trąćmy się! . .

„Trącili się", nieznajomy z fenomenalną wprawą opróżnił kieliszek:

— Ale ja go znajdę!! . . . — wykrzyknął nagle desperacko na całą salę tak, że wszyscy zwrócili głowy ku ich stolikowi.

— Znajdę go!! Słowo honoru . . . I zabiję go!! . . . Słowo honoru —

— Niech pan się uspokoi! . . . Ciiiszej —

— Pan go broni?! — zaperzył się nieznajomy nieprzytomnie wywracając oczyma — pan go zna, może? Choćbyś i pan, przyjacielu, prosił za nim . . . Na nic!! Nie ujdzie mojej ręki! . . .

— Kto?

— Bruno!! Zna go pan? Jakiś pisarz! Jakiś gryzipiórek . . . Pan się pyta, co mi zrobił? Krzywdę! Tak . . . ja ją tak kocham . . .

„Ładna historia", pomyślał Bruno, „co ona miała w tym, by tak głośno obwieszczać moje nazwisko, gdy wyszła do przedpokoju? Żeby on wiedział, że to właśnie ja? . . ."

— Pan wie, jak to jest — dyszał w ucho Brunonowi — nie, pan nie wie . . . Jak się idzie wieczorem pod jej okna i już się przeczuwa, że tam jest ten drugi . . . Światła gasną . . . i już się wszystko wie . . . Ja tam też bywałem . . . póki byłem sławny, póki było o mnie głośno. No cóż . . . teraz pijaczyna jestem, cierpienie mnie żre . . . Jej potrzeba blasku . . . Można ją kupić głośnym nazwiskiem . . . Tamten pisze książki . . . ja śpiewałem . . . dobrze śpiewałem . . . na scenie byłem znany . . .

— Ale ja go znajdę!! I choćbym był wtedy pijany stanę mu do oczu i nim zamorduję powiem: „Bruno ty tam więcej nie pojdziesz, ty jej więcej nie zobaczysz!". . .

— Powodzenia!—powiedział Bruno grzeczny nawet w tak makabrycznym momencie — jestem osobiście pewny, że Bruno więcej tam nie pójdzie i więcej jej nie zobaczy . . . Niestety . . .

Ostatnie westchnienie, z myślą o małej Iwonce, wyjątkowo szczere i tym więcej dziwne u niego, pokrył zaraz opanowanym, znudzonym uśmiechem . . .

Nie ujrzy Iwonki . . . i wmawia w siebie, że nie ma zupełnie ochoty ujrzeć więcej kobiety robiącej jakiekolwiek nadzieje nałogowemu pijakowi, łajdaczącemu się z jej obrazem przed lubieżnymi oczyma, po rozmaitych knajpach i spelunkach — kobiety, dla której Bruno jest jedynie atrakcją w przerwie, na którą nawet nie okazuje wielkiej ochoty zasypiając ze znużenia . . . Miał zaszczyt złożenia jej dziwnie sprowokowanej wizyty jedynie dla dogodzenia jej snobistycznym pojęciom o popularności. Aktorzy (ten właśnie musiał być aktorem), muzycy, literaci . . . długi korowód i on jedną z niepokaźnych nawet zresztą pozycyj? . . . Naiwna i cyniczna zarazem. Nazwisko nowe, pełne blasku i sławy rzuca otwarcie w twarz jego poprzednikowi, który z śpiewaka na scenie przez nią stał się klownem ulicy . . . Boleśnie zraniła tamtego — szarpnęła ambicją młodego pisarza . . . z obydwóch zakpiła . . . nadal nieuchwytna, nieodgadniona, ale sławna . . . Sławą ulicy i półświatka.

Wzięła go złość. Na te wszystkie matactwa sprytne (diabelnie sprytne — musiał przyznać), pozory, kluczki, sposoby.

— Panie . . . a wie pan . . . tak na pewno, gdzie mieszka ta niewierna? Pomogę panu — dodał widząc już z kolei w drugich oczach lśnienie podejrzliwości.

— Jakżebym nie wiedział? Ale nie pójdę tam za skarby . . . nie chcę . . . pewnie znowu ktoś inny jest u niej . . .

— Może właśnie będzie łaskawsza dla pana. —*Bruno nie wiedział, jak przekonywać pijanego do planu tej niedorzecznej eskapady. Chciał znać wreszcie adres dziewczyny.

Pijak zakrył twarz ramieniem:

— Będzie tak, jak wczoraj: Żebrałem, modliłem się na progu. Powiedziała . . . że zajęta . . . że śpi . . . Słyszy pan? Dobry kawał, co? Zajęta i śpi!- . . . — zaśmiał się ochryple, ohydnie.

Przemocą jednak prawie — udało się Brunonowi wyprowadzić go z lokalu i załadować do dorożki. Bynajmniej nie miał zamiaru wstawiać się u Iwonki o względy dla odtrąconego. Chciał wpaść na jej ślad. Wiedzieć, gdzie jej szukać, gdyby zechciał powiedzieć jej parę słów prawdy . . . Może nie zaraz skorzystać z tego, ale uzyskać pewność, że Iwonka nie jest jakąś nieuchwytną, przedziwną iluzją.

Śpiewak z iście pijackim uporem nie chciał wyjąkać dorożkarzowi adresu:

— Jedź pan prosto, — mówił — namyślę się jeszcze . . . Skręcić w lewo . . . może uzbroję się w odwagę . . . Na prawo . . . to się zdecyduję . . .

Wjechali w pewnej chwili na Aleje. Bruno ciekawie spojrzał w okna mieszkania Wichertów i w okna powyżej.

— Stop! — nagle krzyknął pijany i oczy mu na chwilę oprzytomniały — to tu! . . .

— Jakto, tu? Ach! No tak . . . To było tu . . . Tu pan przeżywałeś te nieszczęśliwe chwile, bo ona tu mieszkała na tę jedną noc, wynajęła na ten czas pokoik . . . i tu przyjmowała Brunona. Ale niech pan powie, gdzie ona mieszka stale, przecież pan u niej bywał . . . Gdzie można zastać ją dziś i jutro i pojutrze?

— Jakto, gdzie? — wytrzeszczone zdumieniem oczy zachodziły znów oparami mgły. — Tu, mówię! Niech pan wysiada! Ale! . . . — stuknął się w czoło — dziś będzie tam mąż! Mąż! A ja się boję! . . .

. . . Mąż? . . . Więc do tego jeszcze mężatka?!! . . . Co za historia — wprost kinowa!

— Więc nie pójdziemy tam dziś . . . — uspakajał sadzając biedaka znowu na siedzeniu — a na którym to jest piętrze?

— Na pierwszym . . . Całkiem niewysoko . . .

Bruno otarł dłonią czoło! . . . Uf! Za dużo niespodzianek. Więc to cały czas tyczyło się Eweliny. Te wszystkie oskarżenia, plotki, druzgocące opinię kobiety wiadomości! . . . to był, więc . . . ach! Jakież to jasne . . . to śpiewak Sabasti . . . ofiara kaprysu Eweliny Wichertowej! . . .

Gdy to wreszcie jasno zrozumiał, pojął swoją pomyłkę, zgoła nie przeraził go fakt, że to chodzi o Ewelinę, o jego Ewelinę, o niego tym samym. Uczucie ulgi, że Iwonka działała z nieodgadnionych jeszcze — ale innych pobudek, nie ze snobistycznej chęci poznawania ludzi o pełnych blasku nazwiskach . . . Jakże mógł posądzić ją o to? . . . Jej przyjazne . . . szczere oczy . . . Mógł przecież od razu wiedzieć, że to nie o niej opowiada pijak: Bacznie i podejrzliwie patrzał tamten w okna domu — ale nie myślał bynajmniej o Iwonce, której nawet znać nie mógł, a o pięknej żonie Karola Wicherta . . . szedł na górę do ubóstwianej, ale na pierwsze piętro . . . Przecież podczas ostatniej jego z Eweliną rozmowy telefonicznej wyraźnie wspomniała o jakimś awanturniczym pijaku, napastującym ją wieczorem we własnym mieszkaniu! . . . A on skojarzył to opowiadanie Sabastiego z wizytą nieznajomego mężczyzny wczoraj nocą u Iwonki piętro wyżej.

Kwestia więc wyjaśniona . . . To znaczy: niewyjaśniona w ciągu dalszym. Nienaturalna . . .

Zły był. Zniechęcony. Za długo przeciągało się to wszystko. Wykorzystał już wszystkie nici, jakie trzymał w ręku z nadzieją, że doprowadzą go bliżej ku rozwiązaniu zagadki . . . Pozostała tak samo nieprzeniknioną . . . Miał tego dość . . . On, który marzył o takim właśnie niecodziennym problemie, niepospolitym, niepowszednim. Do tego przyplątała się jeszcze również niewytłumaczalna tęsknota za jasnowłosą kobietą o wielkich oczach . . .

Towarzysz Brunona dawno już chrapał, ukryty pod podniesioną budą wehikułu. Brunon zapłacił za przebyty kurs jak i za odwiezienie śpiącego z powrotem pod lokal, z którego wyszli — i skierował się do mieszkania Wichertów.

Nie lękał się obecności męża. Taka wizyta w południe nie rzuca nigdy żadnych podejrzeń właśnie. Dzwoniąc do drzwi, zdawał sobie sprawę z niezaprzeczalnej chęci przebywania tu po raz ostatni! Żebyż udało się pożegnać z piękną Eweliną bez tragedyj, lamentów i wstrząsów! . . . Powinni na tyle nawzajem się rozumieć, by potrafić rozstać się po przyjacielsku . . . Łapał się na tym, że jednak opowiadanie wzgardzonego ś p i e w a k a w p ł y n ę ł o na tę decyzję . . . Zawsze przedtem skłonny był raczej dać wiarę pozorom, że Ewelina nie jest z rzędu kobiet pospolitych i ich stosunek będzie miał dla niej większą wartość . . .

Na górze Ewelina przyjęła go miłym uśmiechem. Gdy poprosiła go do zacisznego saloniku, zorientował się od razu, że przyszedł nie w porę: Miała już gościa, wątłego, nerwowego chłopca, niezgrabnie podającego na przywitanie rękę.

— Pozwolisz: . . . pan Majerski, kompozytor . . . słyszałeś zapewne . . .

„Coś nowego. Skąd ona bierze te sławy? Ale ma tempo! . . ." — pomyślał.

— Słuchaj, Bruno, o jaki list pytałeś mnie rano przez telefon? Nie pisałam do ciebie żadnego! Mój Boże, ile wy mężczyźni kryjecie w sobie i swoich pretensjach niespodzianek: Ty robisz historię o jakieś listy, ktoś inny po pijanemu składa mi wizytę o całkiem nieoczekiwanej porze . . .

— Ach! Jakżeś nieszczęśliwa Ewelinko! To wczorajsza wizyta tego pijanego śpiewaka musiała cię bardzo zdeprymować, prawda? Czy to był jeden z tych, co mieli nieszczęście znudzić się pięknej pani? . . .

To był afront, wprost obelga mówić jej to w oczy, w dodatku przy człowieku, wobec którego chciała wydać się czysta, nieskalana, niedoosiągnięcia? Nawet pozornie przyjacielski, swobodny uśmiech nie mógł złagodzić szpetoty sytuacji.

Ewelina przygryzła wargi, ale uśmiechnęła się, jakby to był towarzyski dowcip.

— Wiesz, Karol polecił mi poprosić cię do niego, do gabinetu jak tylko przyjdziesz. Dopiero co wrócił z Myślenic i rozbija się o ciebie telefonicznie . . .

. . . Czyżby to był odwet? Chęć zaskoczenia go i zrobienia mu przykrości — jak on to zrobił wobec niej przed chwilą? Opanował się od razu, ale czuł, że przybladł. Rozmowa z Karolem Wichertem i to w tej chwili i zwłaszcza po przekonaniu się, jak wielkie plotki o nich obiegły całe miasto . . . Czyżby bankier zażądać miał jakichś wyjaśnień — może satysfakcji? . . . Cóż innego mogło w nim wzbudzić nagłą ochotę do pogawędki z Brunonem? Karol Wichert, bankier, hazardzista, dorobkiewicz. Potęga kasowa, którą zrodziła giełda i szczęście w interesach. Nazwisko Wicherta to firma, to najlepsze żyro, najlepsza spekulacja. Bruno powiedziałby o nim, że to człowiek, który nie przestaje — liczyć: Jego małżeństwo z piękną, posażną Eweliną — to obliczenie. Kaprysy, luksusy i oprawa dla niej — to także obliczenia: To robi wrażenie, rozgłos, dodaje splendoru nazwisku, jest reklamą dobrze się opłacającą. Nawet to, że dotychczas patrzał przez palce na młodych mężczyzn, których nieoczekiwanie spotykał nieraz we własnym mieszkaniu — to było także obliczenie. Nie potrzebował tak dużo czasu na towarzyszenie i bawienie żony. Mógł zużyć go bardziej produktywnie na robienie interesów i korzystnych transakcyj. Nie potrzebował się martwić, że na raucie, czy balu żona czuje się samotna i będzie mieć oto do niego pretensje. Poza tym na pewno w miesięcznym bilansie odczuwał różnicę, że zawrotne koszty tualet żony rozdzielone zostają na dwie kieszene . . . Jego dzisiejsza chęć rozwodu (jeżeli naprawdę tak jest?) to chyba będzie znowu jakiś interes — tym więcej, że za wszelką cenę chciał zdobyć dowody winy żony, które dawniej same wchodziły może mu w rękę, a wtedy on nie myślał o korzystaniu z nich . . .

Bruno nigdy nie liczył i nie spekulował, choć pieniędzy miał dużo, a sam nie rozumiał nawet wartości sum odbieranych od wydawców. Pieniądz u niego był rzeczą nieważną, przyjemną, ale nieabsorbującą — i bardzo płynną. Nie trzymały się go. Umiał je wydawać, ale nie umiałby zastanawiać się nad kwotą. Co zbywało — oddawał do banku i nie interesował się, jak bardzo cyfry wzrastały i zaokrąglały się. Zupełnie inna psychika, niż Karol Wichert. Inne zapatrywania, inne wartościowania. Inni ludzie. Dlatego nie mieli sobie nic do powiedzenia, gdy przypadkiem, na skutek jakiejś nieostrożności, stawali naprzeciw siebie . . .

Bankier podniósł się z fotela z wcale miłym uśmiechem:

— Proszę, niech pan siada. Ewelinka panu powiedziała . . . ? —

Bruno miał wielką ochotę powiedzieć, że rzeczywiście pani domu spełniła polecenie, ale nie tylko dla lojalności wobec rozporządzenia męża, ale i dla osobistych swych celów, by zostać sama w zacisznym saloniku z anemicznym młodzieńcem.

Gdy ścisnął dłoń bankiera przyszło mu na myśl, że naprawdę coś ich łączy: właśnie to, że w tej chwili obydwaj zostają zdradzani, mąż i ostatnio aktualny przyjaciel . . .

— Nie traćmy czasu, panie Bruno — Wichert patrzał gdzieś w kąt gabinetu — przedstawię panu niezwłocznie całą sprawę i to, co panu chcę zaproponować. Wczorajsze notowania na giełdzie były niskie i bardzo dla mnie niekorzystne. Dziś widzę jasno, że cały mój kapitał obrotowy jest zaangażowany w niepewnych papierach, a mam okazję nabycia innych, które opłacą się, powiedzmy, za jakiś miesiąc najdalej, na przeszło dwieście procent. Nie chcę ruszać, choćby tylko czasowo, sum bankowych, bo gotowo mi to zostać poczytane za malwersację. Na te zwyżkujące papiery mam ochotę i nie wolno mi stracić okazji pod żadnym pozorem. Pan rozumie? —

— Staram się rozumieć . . . Ale co ja . . . ? —

— Właśnie pan. O ile zechce mi pan pójść na rękę, możemy zrobić obydwaj doskonały interes. Dwieście procent za miesiąc, a ry-

Ostatni akord

Myślałam, że j a jestem silna... To kłamstwo! Moją siłą
były wspomnienia słów twoich i twoja daleka miłość.

Modliłam się życiem całym — skrzywdzonym... pustym... nijakim... —
o twoje oczy pluszowe... o twoich pieszczot majaki

a Bóg co zapomniał o mnie, powrócić z tobą nie chciał!!
nie przyniósł w darze ciebie: najbardziej m o j e g o szczęścia!

...i jestem bezbrzeżnie sama, że nie wiem w którą iść stronę
i między niebem a ziemią wiszę jak słońce zaćmione.

Ja byłam tak strasznie twoja, jak strasznie'm dziś jest niczyja —
więc moją lutnię słowiczą o własne serce rozbijam

bo ciebie jednego chciałam pieśnią ozdobić jak płaszczem!
dla ciebie jednego chciałam wszystko co „moje" wpleść w „nasze" —

tobie jednemu dać chciałam mój P o d a r u n e k ś l u b n y
i z tobą odejść w świat szczęścia — codzienny, znojny i trudny.

Więc nigdy nie spełni się B a j k a? ta słodka bajka szczęśliwa...
już nigdy na mnie nie spojrzysz pluszowo-czarno... pieścicie...

O, przyjdź! i z a p r z e c z oczami: że to jest fata morgana
lub tylko zły sen, z którego obudzą mnie własne łkania!!!

Czy bies na doli mej biednej przywalił czarne pieczęcie?
W dzień jakiś — zwykły, jak wszystkie... — ukrzyżowano me szczęście!

i wiara prysła wraz z lutnią... ot, drzazgi tylko w krąg leżą
a wiatr mi krąży nad głową, chichocząc sępie pacierze!

— — — modliłam się życiem całym — skrzywdzonym... pustym... nijakim...
i śpiewam ostatnią piosnkę! uderzam w akord — o s t a t n i.

M. A. Hessel

zyko prawie żadne. Pan słyszy? Pana to nie porywa? — oczy Wicherta nabrały wyrazu i blasku.

— Przyznam się, że nie... Może powie pan jaśniej? —

— Po prostu pan pożyczy mi swoich trzystapięćdziesiąt tysięcy złożonych w Banku Kredytowym. Nie miał pan widać na tyle zaufania, by składać tę sumę w moim banku. Wtedy sytuacja byłaby łatwiejsza i nikt by nie wiedział i u nikogo nie budziłoby sensacji. Ale mniejsza z tym. Jeżeli zechce pan tylko złożyć tę sumę na moje ręce. Tyle właśnie nam trzeba... —

— Pan wybaczy, ale mam tylko jedno konto, to w Banku Kredytowym, co do którego jest pan tak doskonale poinformowany. Gdybym miał stracić... To wszystko, co mam —

Wichert dopiero teraz spojrzał na gościa:

— Czy Wichert stracił cokolwiek, co mu zostało powierzone? To jest niemożliwością! Pan mi zresztą tylko pożycza. Nie myślę bynajmniej wywierać jakiejkolwiek presji na pana, ale pewne względy przyjacielskie... —

Bruno podniósł wysoko brwi. Ale bankier nie czuł się speszony dźwiękiem tego słowa, które padło między nimi. Przysunął się bliżej gościa:

— Panie Brunonie, nie owijajmy spraw w bawełnę. Bądźmy wobec siebie szczerzy, jak mężczyźni: pan o mnie wie dużo, a ja nierównie więcej wiem o panu... Czyby pan sobie życzył, żebym wywołał skandal... panu nie potrzeba już rozgłosu i to w tak niewybrednym gatunku... —

— Szantaż? — spytał trzeźwo Bruno.

— Dlaczego zaraz „szantaż" — wycofywał się businessman — ale są pewne względy, dla których powinien pan chcieć zrobić to dla mnie... i dla mojej żony... Dla mojej żony tym samym, panie Bruno, bo jeżeli okaże się, że jestem zrujnowany, to ona odczuje to najboleśniej... — Z kolei chciał zagrać na strunie uczuciowości Brunona.

— To jest absolutnie za mała racja po temu, bym miał zostać dziadem i zadowolić się jedynie, jako całą rekompensatą, tytułem dobroczyńcy ludzkości... —

Mierzyli się oczyma. Bruno zaczął odczuwać dopiero w tej chwili nieznośne naprężenie sytuacji. Niedawno był jeszcze pewien, że od wszelakiego rodzaju wzruszeń chroni go maska obojętności, pokrywa cynizmu. Teraz (...od wczoraj?...) raz po raz zdarzały się sytuacje, które wyprowadzały go z równowagi...

Inaczej Wichert: Widziało się, że nie czuje się zwyciężony oporem Brunona. Miał jeszcze w ręku niezgrany, najważniejszy atut:

— Dlaczego mamy być przeciwnikami, jeżeli możemy być przyjaciółmi? — powiedział wolno odsuwając się w tył z fotelem i zamyślając się — do dziś dnia nic dziwnego, że łączą nas nienajlepsze stosunki i nie myślimy nawzajem o sobie życzliwie... Ale dziś... Nie mam nic przeciwko panu. Przeciwnie. Mam dla pana sympatię... i małą niespodziankę: Rozwodzę się!

Czekał na efekt tych słów. Nie było żadnego. Na twarzy gościa nie widać było żadnego wrażenia. Żadnej reakcji.

— ...Daję wolność Ewelinie. Możecie od dziś ulegalizować wasz stosunek, przestać obawiać się opinii, zacząć oddychać swobodnie... —

Mówił pięknie rozwijając w ciągu dalszym tę myśl — ale żadne ze słów nie trafiało do przekonania zainteresowanemu, ani nie budziło serdeczniejszych jego uczuc do Wicherta. Przeciwnie. Bruno czuł wyraźny niesmak, litował się nad mężem Eweliny tak haniebnie i wstrętnie demaskującym się.

„Spekulant na pozamałżeńskich sympatiach własnej żony..." wzdrygnął się.

— ...Ale wzamian mam chyba małe prawo żądać... prosić... zwrócić się do pana otwarcie o pomoc finansową. To przecież jest dużo warte... dla pana i dla niej. A te tysiące leżą... pan nimi i tak nie obraca... a ja zapewniam panu większy procent, niż Bank Kredytowy... —

— Proszę pana. Nie mieszajmy dwóch spraw: interesów pieniężnych i takich intymnych, prywatnych i osobistych. Nie chcę absolutnie kupować od pana pańskiej żony. Nie umiałbym tej transakcji oszacować na żadną sumę pieniężną. Daję panu pełnomocnictwo do rozporządzania moim kontem do kwartalnego terminu i proszę o dywidendę taką samą, jak procent bankowy. Nic więcej. Robię to dla konieczności i lojalności towarzyskiej. Sprawa pana rozwodu jest mi obojętna i bynajmniej na decyzję nie wpływa. Rozumie pan? —

W jakże gorących słowach dziękował Wichert! Oczy mu się roziskrzyły. Zapamiętale częstował gościa papierosami. Gdzieś z głębi szafy wyciągnął butelkę najlepszego koniaku...

Brunon miał podpisać jedynie uprzednio już, widocznie, sporządzony akt. — Wichert w całej akcji wykazał naprawdę całe bogactwo dyplomacji i przezorności...

— I tak rozwiodę się z Ewelina... — mówił, gdy któraś tam z rzędu kolejka koniaków upoważniła go poufale klepać pisarza po ramieniu — bezapelacyjnie zwracam jej wolność. Nie jesteśmy dla siebie. Do niedawna szukałem sposobu dla uczynienia żony stroną winną, żeby sam, pierwszy, wnieść skargę. Teraz to nie ma już dla mnie znaczenia. Wie pan, zwierzę się panu... —

Niebieska od wonnego dymu atmosfera gabinetu nastrajała rozmarzająco.

— Pan jest moim przyjacielem — (...od dziś... od pół godziny..." dodał w myśli Bruno) więc panu jedynemu... Mam taką małą przyjacióteczkę... najsłodsze kobieciątko pod słońcem. Chcę dać jej dowód mojej wdzięczności za bezmiar serca, jaki mi okazała... Ewelina twierdzi zawsze, że mnie nie można kochać. Tamta sądzi inaczej... Jest tak pełna poświęcenia, samozaparcia. Uwielbia mnie... —

„Co mnie to obchodzi?" myślał Bruno „jedna z cwanych, życiowo mądrych kobiet, które chcą dopiąć swego. I niewiadomo, czy uwielbia jego samego, czy bransolety, które od niego otrzymuje?..."

— Wiem, co pan myśli w tej chwili... — bankier wykazał nieprzeciętną intuicję — myli się pan jednak. Jej wcale nie zależy na małżeństwie ze mną. Słyszeć wprost nie chce o tym, żeby miała zająć miejsce innej... I to bynajmniej pod presją jej żądań nie myślę o rozwodzie... —

„Gęś..." zdefiniował bezlitośnie Brunon „i całkiem możliwe, że Wichertowi z taką opatentowaną naiwnością łatwiej dojść do porozumienia, niż z wyrafinowaną, wiecznie niezaspokojoną, niespokojną Eweliną..."

— Wie pan do jakiego stopnia jest bezinteresowna i dobra dla mnie? Nieraz udaremniała, albo zgrabnie tuszowała różne nielojalności wobec mnie i faux pas towarzyskie mojej żony. Czy pan zdolny jest to pojąć? Uniemożliwiała schadzki Eweliny z kimś trzecim, gdy przewidywała, że to ja będę widział, przejmowała korespondencję kompromitującą nasze nazwisko, pozorowała całkiem jasne sytuacje w momentach, gdzie nie wszystko było w porządku... —

Brunon dopiero w tym miejscu zwrócił uwagę na słowa perorującego i nadstawił uszu:

— Była długi czas moją sekretarką, poznała więc doskonale moje z żoną pożycie. Odczuła, że nie wszystko u Eweliny zdaje mi się jasne i nie wszystko zawsze się podoba. Nieraz pozwalałem żonie na wiele, ale męczyło mnie to, choćby tylko dlatego, że nie lubię, gdy moje nazwisko jest paszą dla dziennikarzy i redakcyj i plotkujących towarzystw. To mnie trochę dyskredytuje w opinii. Sam pan przyzna. Dalekim byłem od zazdrości — ale moja kochana konfidentka przypuszczała, że o niczym nie wiem i nie będzie wesoło, gdy pewnego pięknego dnia, czy nocy, dowiem się.

Ciąg dalszy nastąpi

SZCZĘŚCIE...
(Refleksja)

Popatrz na pajęczą sieć w blaskach porannego słońca!

Cała błyszczy i mieni się, pełna świetlistej rosy. Lekki wiatr porusza sieć błyszczących pereł — i cicho jedna kropla rosy po drugiej spada na ziemię.

Takiem jest szczęście!

Niby błyszcząca perła rosy drży w sieci twego życia. Przychodzi pierwszy podmuch niedoli, wstrząsa siecią — i szczęście zaraz spada i ginie.

— — — — — — — — —

Kiedy szczęście przychodzi?

Przychodzi do nas zupełnie nagle, gdy wcale o nim nie myślimy. Siada do stołu, a my, widząc rzadkiego gościa i chcąc go uczcić, stawiamy na stół wszystko, co mamy najlepszego w domu... biegniemy szybko do ogrodu po słodkie owoce. Gość cicho siedzi, czeka, lekko się uśmiecha, bo wie, czego chcemy. Zdaje się nam, którzy niebaczni i zaślepieni jesteśmy, że przy tak bogato zastawionym stole, długo pozostanie.

Wtem nagle wstaje i wychodzi.

Na próżno za nim wołamy: zostań, zostań jeszcze!

Drzwi już dawno zamknęły się za nim...

St. Jucha

Wiosenne opowiadanie o znudzonej panience

Tekst i rys. T. Boguszewska



Tej pierwszej wiosennej niedzieli, wszyscy jakoś wyjechali do kościoła. Została jedynie w domu kucharka — od rana odmawiająca „wilcze pacierze" na intencję kota, który spod rąk ściągnął jej kotlet, niańka Antosia — która jednak „wsiąkła" tak gdzieś dokładnie bez śladu i reszty, jakby nie była z krwi i kości dziewczyną, lecz śniegowym bałwankiem, który rozpłynął się w promieniach wiosennego słonka, no i „ich dwoje". Oczywiście, że nie wiele nas w tej chwili obchodzi niańka czy kucharka, zainteresowanie nasze skierujemy jedynie na niego i na nią! Pierwsza godzina ich osamotnienia upłynęła czarująco: byli nawzajem sobą zachwyceni, przez przeciąg drugiej godziny, ich wzajemny entuzjazm cośkolwieczek ochłonął — nie mniej jednak zastąpiła go chwalebnie, obopólna uprzejmość. W ciągu trzeciej godziny, on miał już najwyraźniej jej towarzystwa dość, a ona czuła słuszny żal do niego, że nie aprobował projektowanego przez nią spaceru. Pogniewali się w końcu na siebie już na dobre: ona, chcąc go ostatecznie zgnębić i zignorować, zaczęła się przymilać do śpiącego w rogu pokoju psa legawca — a on, niby to zrozpaczony, ale w duchu szczęśliwy odgrodził się od całego świata olbrzymią płachtą gazety i utonął w polityce.

Żałosne skomlenie psa — ulubieńca zwróciło jego uwagę na rzeczywistość:

— Lulu! znowu dokuczasz pieskowi, dlaczego go bijesz? — zapytał surowo małą okrutnicę. Lilipucia figurka potrząsnęła z oburzeniem złotymi lokami:

— Ja go nie bijem! — zaprzeczyła.

— Nie bijesz go, a dlaczego pies skomli, co? — indagował starszy pan swą maleńką wnuczkę.

— Ja go nie bijem, ja go scypiem! — Objaśniła Lulu z całą dokładnością. W kąciku ust dziadzia zadrżał leciutko, ledwo dostrzegalny uśmieszek — i uśmieszek ten stał się dziadziową „klęską"... Małe utrapienie już siedziało z powrotem na dziadziowych kolanach, gazeta leżała na podłodze, a srebrzysty głosik wydzwaniał najczulej żałosną skargę:

— Baw się żemną, baw się . . . dzieczku tak się psyksy . . .

— Bawić się . . . nie, na to już mię nie nabierze, — dumał starszy pan srodze utrapiony, wręcz odmówić — nie sposób, za wielkim był na to gentlemanem, należałoby znaleźć jakieś kompromisowe wybrnięcie z tej całej historii, zwłaszcza że i zdrzemnąć też by się przydało, ach, ta Antosia! Antosia — gdzież ona się zapodziała — wzdychał na wspomnienie niani. — Ale nie! żebym ja, blisko siedemdziesięcioletni mężczyzna nie mógł sobie dać rady z taką trzyletnią kobietką — to się po mnie nie pokaże: nie ma sytuacji, w której by nie można było jakoś sobie poradzić.

— Słuchaj, maleńka — rozpoczął — jest jedna śliczna zabawa, ale ty pewnie nie potrafisz się w nią bawić . . .

— Potrafiem! potrafiem! — zapewniała laleczka podskakując radośnie i klaszcząc w rączki.

— No, to dobrze, będziemy się bawili w śpiącą królewnę — wiesz chyba o tym, że śpiąca królewna, spała równo sto lat. Ty będziesz królewną i będziesz spała o tak: na dwu zesuniętych fotelach, a ja się położę na kanapie, i ani „mru-mru", bo zabawa się zepsuje!

Chwileczkę po tym, w ciszy pokoju słychać już było miarowy oddech i lekkie pochrapywania uśpionego dziadzia — niestety, maleńka Lulu zasnąć jakoś nie mogła, wstyd jej trochę było, że nie umie się bawić w taką piękną zabawę, ale pocieszała się optymistycznie, że przeleży tak grzecznie równo tych „sto lat", o których mówił dziadzo (nie przyzna się nawet, że nie spała), a potem zabawa będzie może ciekawsza...

Zegar tykał na ścianie monotonnie i usypiająco swoje tyk-tak, tyk-tak. Radosna smuga wiosennego słońca pieściła na oknie rozkwitłe szkarlety. Lulu uniosła wreszcie ostrożnie złotowłosą główkę i zapytała dziadzia, chrapiącego już na dobre:

— Dziadziu — moześ ty żaszpał? moze to jus jest „sztolat"?. Dziadzio ani drgnął. — Dziadziu? Słuchaj . . . to bardzo, to bardzo, nudna ta twoja żabawa . . .

I to oświadczenie wcale nie poskutkowało. Zaczęła więc dla „zabicia czasu" rozmyślać o tym, jak ślicznie konikami odjechali rodzice i babcia rano do kościoła, i jakby to było miło, gdyby i ją, Lulu, byli wzięli ze sobą, wreszcie przypomniała sobie jak to nie dalej a wczoraj — wracała z mamusią z miasteczka. Wózek zaprzężony w parę łysych kasztanków podskakiwał wesoło po wybojach — i naraz minęła ich chłopska furka, na której o dziwo! pod siatką (taką samą jaką ma Lulu przy łóżeczku) pokwikiwała duża, tłusta świnka! Ogromnie się Lulu podobała podróż tej niezwykłej pasażerki. Gdyby tak móc jeździć w takim wesołym towarzystwie na pewno nie byłoby nigdy tak nudno na świecie! Żeby tak tu, w pokoju mieć taką świnkę . . . snuła śmiałe marzenia! Ale że w fantazji i marzeniu nigdy nic ma niemożliwości, więc też postanowiła zaraz zabawić się „na niby" — w podróżującą świnkę: przywlokła z dziecinnego pokoju siatkę, i zarzuciła na śpiącego dziadzia (zapytawszy wpierw grzecznie, czy nie ma nic przeciwko tej nowej zabawie?), przysunęła następnie dwa krzesełka do kanapy (imitowały świetnie koniki) i wio! Dziadzio chrapać — chrapał, ale na kwiczenie to w żaden sposób nie miał ochoty — w niczym to jednak nie przeszkadzało pięknu zabawy: Lulu umiała na zmianę kwiczeć jak świnka, rżeć i parskać jak prawdziwy rumak, a w potrzebie pokrzykiwać po furmańsku.

Ale że i najpiękniejsza podróż staje się w końcu nudna, nic więc dziwnego że i Lulu znudziła się swoją wyprawą na rogu kanapy, na szczęście, przypomniała sobie jak to tydzień temu rzeźnik w chmurze pary z ukropu, na dużym korycie oskrobywał ze sierści wieprzka zabitego na świąteczne szynki i kiełbasy. Wspięła się więc na paluszki do blatu kredensu, ściągnęła leżący tam nóż i . . . hurra z nożem do dziadziowej łysinki! Starszy pan momentalnie skoczył na równe nogi, a że głowę i ręce oplątane miał w siatkę, to jeszcze bardziej powiększyło grozę położenia, olbrzymi zaś nóż w różowych rączkach wnuczki, dopowiedział mu resztę!

— Oskalpować mnie chciała, oskalpować — niedobre, złośliwe stworzenie — zajęczał żałośnie, a maleńka dziewczynka starała mu się tłumaczyć dobrotliwie:

— Ja wiem, że to tseba polać ukropem, zeby włoski zesły, ale kucharcia ukropu by nie dała . . .

— Masz diable kubrak! jeszcze tego tylko by brakowało! Ach ta Antośka! to niepoczciwie z jej strony takiego starca jak ja, na pół dnia zostawiać na pastwę nieznośnego dzieciaka!

Wszelkie niemożliwe możliwości, których szczęśliwie uniknął, stanęły mu żywo przed oczyma. Tymczasem oczka maleńkiej Lulu zaszkliły żałośnie łzami, bródka zaczęła się trząść . . . i dziewczątko wybuchnęło gwałtownym łkaniem. Gniew dziadzia, momentalnie zniknął gdzieś bezpowrotnie, przygarnął maleństwo do siebie, całował po rączkach, buzi i pocieszał.

— Piesek wyrcy, dziadzio ksycy . . . a dziecku tak się psyksy . . . — szeptała.

— Prędziutko Lulu — rajtuzki, kapuza, płaszczyk, idziemy na spacer! — Rosa łez znikła z przylaszczkowego błękitu dziecięcych oczu! Za chwilkę byli już ubrani (dziadzio sięgnął jeszcze ręką na najwyższą półkę w kredensie i czymś powypychał kieszenie swojego palta, ale Lulu nie zwróciła na to uwagi — w podskokach pobiegła już przed siebie!!!)

Złote potoki słońca radośnie zalewały świat, (w szczelinach ziemi i w cieniu, krył się jeszcze gdzieniegdzie wstydliwie, zbrukany szary śnieg). Zamglona dal, cichym fioletem zasnuła las na horyzoncie . . . Wilgotne gałązki brzóz rosnących wzdłuż polnej dróżynki, pulsowały sokiem i pachniały cierpką obietnicą liści. Szare zagony pól poczęły nabierać malachitowych odcieni.

Spod nóg uciekały żółto-okie stokrotki o srebrnych, z lekka zaróżowionych płateczkach — a ponad tym wszystkim gdzieś wysoko, wysoko w błękicie (a może u stóp Bożego tronu . . .) szary skowroneczek wydzwaniał swoją prymitywną, niefrasobliwą piosenkę: „dziś-dziś! już-już! Wiosna! Wiosna! Wiosna!" — a śpiewał ją tak prędko, że Lulu wcale zrozumieć tych słów nie była w stanie, dopiero dziadzio musiał powtórzyć jej dokładnie całą skowronkową piosenkę.

Szli więc tak razem wesoło: para najlepszych przyjaciół, siwowłosy staruszek wysoki i szczupły, z lekka ku ziemi pochylony i mała laleczka z buzią wesoło zadartą do góry, podskakująca jak wróbelek, i jak wróbelek niezmiernie szczęśliwa.

— Takby dziecko czoś zjadło...

— No widzisz, trzeba było wziąć drugie śniadanie z domu, teraz już za późno się wracać, ale wiesz co? dojdziemy do tych wierzb i narwiemy sobie gruszek!

Gdy się ma lat 3—4 nie ma niemożliwości na świecie!

A wierzby rosochate, o rozczochranych łbach, ustroiły się właśnie jak na Palmową Niedzielę w srebrne i złote bazie! Dziadzio raz za razem sięgał ręką ku górze, w gęstwinę słodko brzęczących gałązek i zrywał wnuczusi wyśmienite gruszki: przypominały one zupełnie owoce osmażone w cukrze, które mamusia czasem daje Lulu na deser po obiedzie, ale były o wiele, o wiele od nich smaczniejsze! Schowali więc też ich kilka i wrócili do domu, aby poczęstować gruszkami rosnącymi na wierzbie: babcię, mamusię i tatusia gdy za chwilę powrócą już z kościoła.



WILKOŁAK

NAPISAŁ: BARTOLD BLUNCK

Przeglądając starą kronikę miejską, znalazłem opis dziwnego zdarzenia. Pragnę, nie skaziwszy prawdy, opowiedzieć tę przydługą historię.

Młody żołnierz — imię zamilcza kronikarz — został w czasie bitwy zraniony w nogę. Gdy wyleczył się z rany, spostrzegł, że odtąd musi iść kulejąc przez świat; a do rzemiosła wojennego był już niezdolny. Liznął dawniej trochę wiedzy: uciekł jednak ze szkoły, a potem nauczył się krawiectwa, a zanim zdał egzamin na czeladnika, powołano go do wojska. Teraz musiał zastanowić się, gdzie znaleźć chleb, gdyż nie chciał żebrać. W niespokojnych wojennych czasach bez przyjaciół i schronienia, rozpoczął przede wszystkim budowę chaty z desek daleko za miastem, na odludnym wrzosowisku; tak stworzył sobie przytułek. Na cały dzień szedł do miasta, gdzie pracował jako krawiec-łatacz. Robotę swoją wykonywał tajemnie, gdyż krawcy cechowi pilnowali, aby ktoś nie partaczył w rzemiośle.

Było to marne życie, toteż w pewnej ciężkiej godzinie, kiedy mu głód szczególnie dokuczał, postanowił inwalida polepszyć swój byt, nawet niegodziwymi środkami. Przypadek dał wkrótce okazję. Pewnego dnia nabył — myślą tą natchnął go zły duch — od wędrujących handlarzy starą wilczą skórę. Biegłą, zręczną ręką rozszerzył ramiona i przydłużył nogi, dzięki rzemieniom, skóra przylegała silnie do ciała i nosząc ją nie odczuwało się zmęczenia. Jego fantazja potęgowała się przy realizowaniu szatańskiego dzieła. Powiedział sobie, że dla żartu będzie straszył przechodni nocnych. Tymczasem to, co z początku było zabawą, przybrało formy czynu bandyckiego.

W mieście rozeszła się wkrótce wiadomość, że ukazał się wilkołak, który pokazuje się w groźnej postaci w nocy na wrzosowiskach i straszy podróżnych. Wprawdzie nikt jeszcze nie doznał szkody na ciele, ale wycie piekielnego zwierza zmuszało każdego do szybkiej ucieczki.

Tylko, aby ratować życie, wielu ofiarowało dobrowolnie swoje mienie, na które rzucał się wściekły wilk. Odważnemu myśliwemu, który pewnego wieczoru stanął przeciwko wściekłego zwierzęcia z wyciągniętym pistoletem, nie wypaliła broń, chociaż rzucił świeży proch na panewkę. Mąż ten musiał uciekać, gdyż wilk chciał go napaść, wyjąc przy tym straszliwie. Nadto wiedziano, że ów potwór jest bardzo roztropny i dlatego nikt nie odważył się napadać na niego. Ponieważ jednak pokazywał się rzadko, przeto podróżni korzystali nadal ze skróconej drogi przez wrzosowisko.

Pewnej straszliwej, burzliwej nocy zdarzyło się, że młoda dziewczyna, która była służącą u sędziego w mieście, wracała późno z odwiedzin rodziców i mimo ostrzeżenia i napomnienia, szła przez wrzosowisko.

Wiatr huczał wśród zarośli jałowca i szalał nad daleką, ciemną równiną. Naraz wśród tego wycia wybuchł straszliwy krzyk i ryk i jakby wyrosły z ziemi, wynurzył się przed dziewczyną wilkołak. Biedna dziewczyna wiedząc dobrze, że ucieczka przed tym piekielnym stworzeniem jest niemożliwa, wzywając na pomoc wszystkich świętych, padła na kolana. W śmiertelnym strachu na widok potwora, polecając duszę Bogu, oczekiwała z zamkniętymi oczyma swego losu. Porwane kłęby chmur przesuwały się po niebie i naraz ukazał się księżyc, oświetlając piękne oblicze błagającej; widok ten wzruszył męża w postaci wilka. Diabeł nie zyskał jeszcze nad nim pełnej mocy. Szybko zdjął ze siebie skórę wilczą, rzucił ją daleko i zbliżył się do dziewczyny, która nadal trwożliwa, żarliwie prosiła Boga o ratunek. Zawołał na służącą łagodnym głosem, aby powstała. Ona otworzyła oczy, obejrzała się niespokojnie i rzuciła się swemu wybawicielowi do nóg. Jemu spodobała się rola szlachetnego rycerza, toteż gdy dziewica drżąc przytuliła się do jego piersi szlochając z wdzięczności i szczęścia, że odzyskała życie, poprzysiągł sobie w cichości porzucić ten wstrętny proceder i zatrzymać ten skarb, który zesłało mu niebo na uświęcenie. Towarzyszył dziewczynie aż do bram miasta i umówił się z nią, że następnego dnia spotkają się przy studni rynkowej.

Sędzia i jego żona, którzy cenili Małgorzatę dla jej pilności, postanowili wynagrodzić jej nieustraszonego i dzielnego obrońcę. Ponieważ wilkołak nie odważył się pokazać więcej, było rzeczą jasną, że na zawsze go przepędzono — dlatego żołnierz w nagrodę otrzymał posadę pomocnika pisarza miejskiego; wkrótce potem stanął na kobiercu ślubnym ze swoją młodą żoną

Po pamiętnej nocy, w której po raz ostatni odgrywał szelmowską rolę, schował skórę do otworu w ziemi; nie mógł rozłączyć się z tym ubiorem.

Pewnego jednak wieczoru wyjął to przebranie pokazał swojej żonie i zdradził tajemnicę.

— Jeżeli mi teraz darujesz i będziesz milczała, do końca życia będę cię kochał i szanował — powiedział mąż rzucając równocześnie skórę w ognisko.

Ponieważ żona była nie tylko piękną, ale i mądrą, darowała mu winy i postanowiła go jeszcze bardziej kochać, aby nie przyszły mu do głowy jakie złe zachcianki.

I czyż najbardziej zdumiewającą rzeczą w tej historii nie jest to, że piękna Małgorzata zachowała tajemnicę aż do grobu — tę cnotę, tak rzadko przypisywaną niewiastom; natomiast mąż nie był tak dyskretny, gdyż przekazał opis tego zdarzenia kronice miasta.

Do potomstwa szczęśliwej pary nie przylgnęło wspomnienie o wilkołaku; znalazłem ich nazwiska jako radców miejskich i poważanych obywateli w dalekie pokolenia.

Tłum. A. G.

DZIWNE KWIATY

Kwitną czasem dziwne kwiaty
pod murami,
na urwiskach,
w głuchych, pustych rumowiskach
kwitną czasem dziwne kwiaty.

Przez nikogo nie zasiane
kwitną kwiaty niepotrzebne,
wonne,
barwne,
zapomniane...
dumne, chłodne i wyniosłe
kwitną kwiaty nienazwane
barwne...
wonne...
zapomniane...

Nigdy ludzka dłoń gorąca
ich nie zerwie i nie rzuci
i to może właśnie dumne
i samotne kwiaty — smuci.

Obce i wyprostowane,
niezależne, zapomniane,
w głuchych, pustych rumowiskach
pod murami,
na urwiskach
kwitną czasem dziwne kwiaty.

Alina Nowakówna

ZE SCENY I ESTRADY

Po występie warszawskiej pary tanecznej:
BITTNERÓWNA — KAPLIŃSKI
na scenie Krakowskiego Teatru Powszechnego.

Taniec polski jako sztuka baletowa jest zagadnieniem bardzo poważnym, u nas — niestety — w dużej mierze zaniedbanym gdyż jednostki powołane do jego kultywowania nie znachodzą odpowiedniego zrozumienia ni poparcia wśród naszej publiczności, która nie jest zbyt wymagającą i nie umie popierać tego, co jest opieki godne.

Z dawien dawna popierała i popiera raczej krzyczącą reklamę i rozgłos i nowości — przeważnie bez głębszego artystycznego opracowania — importowane z zagranicy.

Natomiast, tam gdzie jest szczere, rzetelne i interesujące usiłowanie na gruncie rodzimym, podchodzi na ogół z biernym oporem, a jeśli niekiedy zdobędzie się na wyrazy uznania, to i tak wówczas zachwyt jej staje się wstrzemięźliwy i niewyraźny. Nic więc dziwnego, że naszym baletmistrzom opadały ręce, gdy nie znachodzili należytego zrozumienia w społeczeństwie.

Część jednak winy — za ten stan rzeczy — spaść musi także na przedstawicieli sztuki choreograficznej, którzy trzymają się kurczowo skostniałych form tego samego krakowiaka, tego samego oberka czy mazurka, i zadawalniają się ustawicznym przeżuwaniem dawnych tradycyj.

W tej dziedzinie już dawno należało wiele zmienić, biorąc pod uwagę zmianę upodobań naszej publiczności, która pragnie zobaczyć coś nowego, ale opartego na rodzimych motywach, coś pełnego rozmachu i zamaszystości.

Posiadamy przecież wiele najrozmatiszych naszych tańców ludowych, które należałoby odgrzebać, przyswoić sobie i artystycznie je przekomponować. Każda dzielnica polska jest wyborowym źródłem swoistego stylu, którego nie masz w całej Europie. W te regionalne formy muzyczne trzeba tchnąć nową treść zarówno w tańcach odtwarzanych na scenie, jak i w tańcach towarzyskich.



Znana para warszawskich tancerzy B. Bittnerówna i J. Kapliński w tańcu bułgarskim.

Ale trzeba na tańce patrzeć nie tylko jako na ulubioną odmianę flirtu, czy wyładowanie wezbranej energii, lecz także niesłychanie interesujące zjawisko obyczajowe i poważny odłam sztuki.

Na tych nowych i szlachetnych drogach stoi właśnie warszawska para taneczna: **Barbara Bittnerówna i Jerzy Kapliński.**

Wszystko u nich jest pojęte nowocześnie.

W układach tanecznych Kaplińskiego, opartych na polskich motywach ludowych, nie ma owej zmanierowanej i skostniałej formy czy braku inwencji.

Spostrzegamy tu wyraźnie odświeżenie, jakieś nowe tchnienie stylu i nowe oryginalne pomysły — zarówno w obrazkach groteskowych jak i w subtelnych poematach tanecznych. W starych formach muzycznych dostrzegamy wiele nowej treści.



Na prawo:
B. Bittner i J. Kapliński w grotesce „Anna—Polka".
Fot. Zajączkowski

Syntetyczne ujęcie istoty samego tańca, jego właściwej myśli przewodniej czy idei poprzedzone jest — bez najmniejszej szkody dla samego tańca — najprostszą i tym samym prawdziwie piękną introdukcją.

Jego kompozycje taneczne to swego rodzaju arcydziełka o dużym rozmachu i głębi ujęcia.

Widoczna chęć tworzenia czegoś nowego pozwoli Kaplińskiemu na wdarcie się na wyżyny kunsztu tanecznego i zapewni pełne powodzenie. Kapliński jako tancerz-odtwórca: — doskonały— zrównoważony i skromny jak przystało na prawdziwego artystę. Wykształcenie taneczne wysokie — kultura muzyczna duża. Gest silny i przekonywujący. Warunki fizyczne wspaniałe.

W uroczej i ambitnej tancerce Basi Bittner — znalazł Kapliński znakomitą partnerkę i najczystszą odtwórczynię swoich pomysłów.

Bittnerówna jest tancerką wszechstronną, o przebogatej ekspresji i już od kilku lat kroczy na przedzie gwiazd baletowych w orszaku Terpsychory.

Jako tancerka posiada ona dwie bezcenne zalety: młodość i niestygnący zapał. Na jej malutkich, delikatnych dziecinnych ustach igra niemal bez przerwy świeży, naturalny uśmiech, który nie przypomina w niczym tego stereotypowego uśmiechu, co martwieje na ustach aktorek jako grymas odrażający.

Jest pięknie zbudowana. Jej ciało ma nieskazitelne kształty pełne wdzięku i kobiecości.

Jakkolwiek lekka i smukła, nie odznacza się w najmniejszym stopniu tą chudością anatomiczną, która czyni tancerki podobne do koni wyścigowych, będących przeważnie zespołem muskułów i kości.

Nic w niej nie zdradza zmęczenia ani natężenia. Jest szczęśliwa, że może tańczyć, jakby była młodym dziewczęciem na balu, a jednocześnie wykonuje z zupełną swobodą rzeczy najtrudniejsze. Godnymi specjalnej uwagi i podkreślenia są: jej bogata mimika i pełen treści gest. Jej ręce grają subtelną gamą wymowy.

Miękko i płynnie lecz przekonywująco podaje wartość swoich tanecznych interpretacyj, w których niekiedy dopatrzyć się można tęsknoty i szukania za wyżyciem się w tańcu.

W bogatym programie niedzielnym, ułożonym z dużym znawstwem ludzkich upodobań — odtańczyli warszawscy goście — między innymi w sposób zachwycający „Śmierć łabędzia" (do muzyki Offenbacha), „Pieśń moczarów" (do muzyki Berge), „Deszczowe preludium" Chopina, „Melancholię" Liszta; — z wielkim poczuciem stylu wileńskiego wykonano obrazek ludowy pt. „Na wileńskim kiermaszu" — pokazali nam pasterza i pastereczkę w przemiłym ludowym obrazku „Kaczki za wodą, gęsi za wodą", „Czardasza cygańskiego" (muz. Muhra) oraz tańce wschodnie i japońskie, pojęte oryginalnie.

Wszystkie obrazy odtworzone bez dekoracji, w kostiumach pojedyńczych i prostych, skomponowanych z wysoce malarską jednolitością z umiejętnym wykorzystaniem kontrastów.

Zespół muzyczny pod batutą Adama Lenczowskiego przyczynił się niewątpliwie do uświetnienia imprezy.

Całość efektowna — na wysokim poziomie — stworzyła niezapomniane chwile prawdziwej poezji.

Paliwoda-Matiolański.

IX. SYMFONIA BEETHOVENA

Idealność odtwórcza-jakiegokolwiek większego dzieła muzycznego — a może i nawet, biorąc rzecz rygorystycznie, każdego — wymaga, by ono jedynie i wyłącznie obejmowało cały program danego koncertu. Bo wtedy oczywiście i przeżycie jest jednolite i wrażenie jednolite o pewnej trwałości czy nawet długotrwałości. Skoncentrowana tylko na odtworzeniu jednego dzieła uwaga darzy przecie mnóstwem świeżych wrażeń, które niepochłaniane przez okoliczności uboczne, jawią się w swej nieskazitelności niezamąconej, powodując łatwiejsze osiadanie w głębinach duszy, a tym samym i łatwiejsze późniejsze odżywanie. Istotnie bardzo szczęśliwym i trzeźwo pomyślanym posunięciem Kierownictwa Filharmonii Krakowskiej był program ostatniego koncertu symfonicznego nie obciążać niczym, tylko poświęcić go wyłącznie IX Symfonii Beethovena. Zresztą wystarczyła ona w zupełności na zapełnienie całego programu i pod tym względem rozbieżnego zdania między audytorium być nie mogło.

Ilość odtwórców bardzo znacznie powiększona. Orkiestra w całym superkomplecie. Chór bardzo liczny. Ponad 200 osób zapełniło estradę, robiącą wrażenie mocno za szczupłej na swobodne poruszanie się tak wielkiej ilości odtwórców. Konieczne było pewne przegrupowanie orkiestry, pewne zacieśnienie, co w rezultacie może niezbyt idealnie działało akustycznie. Ale o tym wspomnimy tylko mimochodem, jako o rzeczy, która wpływu większego na ogólne wrażenie nie miała.

Erb miał ogromnie trudne zadanie do wypełnienia: dać jak najjaśniejszą pełnię blasków temu potężnemu dziełu. Trud to niecodzienny, to seria poszczególnych żmudnych wysiłków, podporządkowanych jednemu celowi, wysiłków w istocie swej bardzo różnorodnych, wymagających bystrości umysłowej, wyśmienitej orientacji i ogromnej wiedzy muzycznej, opartej na doświadczeniu.

Pierwsza część Symfonii o potężnej dramatyczności, tchnącej jakimś głębokim tragizmem, otrzymała brzmienie doskonałe, w zupełności harmonizujące w wzniosłością potężnego dzieła. Może nieco wolelibyśmy słyszeć niektóre momenty ostrzej zarysowane, a wówczas wrażenie nie zbyt utemperowanej tragiczności uległoby pewnej pożądanej redukcji.

Scherzo o nastroju demonicznym, najlepiej może przepracowane z całości, istotnie zasłużyło na rzetelną pochwałę — orkiestry, gdyż z każdego omal taktu przebijała wzmożona staranność wykonawcza.

Adagio — górne — ekstatyczne — tchnące czymś pozaświatowym — muzycznie dość skomplikowane wywołało głębokie wrażenie.

Zwycięski finał wokalny, poprzedzony potokiem wezbranej namiętności, wypadł doskonale. Współdziałanie orkiestry i chorów wprost idealne. Brzmienie chóru czyste — pewne — o niezwykłej miejscami sile. Kwartet wokalny o miłym brzmieniu, nieraz może o niknącej sile.

Oklaski po zakończeniu niemilknące. Nie skusiły one do bisu, co się dobrze stało, bo jednolitość wrażenia nie uległa rozprószeniu.

XI. KONCERT SYMFONICZNY

Program na ogół biorąc znaczniejszego zainteresowania przedkoncertowego nie budził, zwłaszcza że omal wszystkie utwory były już niejednokrotnie przez orkiestrę Filharmonii Krakowskiej prezentowane Webera Uwertura do op. Wolny Strzelec, Haydna Symfonia Nr 1 Es-dur i Dvoraka Symfonia Nr 5 e-moll. Może największą siłę atrakcyjną wywierała tchnąca zawsze świeżym wiewem oryginalności Symfonia Dvoraka, której zawsze — omal nienasycenie — słucha się ze spotęgowanym zaciekawieniem.

Uwertura Webera otrzymała formę odtwórczą jeśli chodzi o brzmienie, dźwiękowo wycyzelowaną, z pewnym przytłumieniem elementów dramatycznych czy tragicznych. Uwertura ta jest w rzeczywistości mistrzowskim skrotem muzycznym całej opery, całej tej walki między piekłem a niebem, zakończonej tryumfem nieba. Tego właśnie konfliktu tragicznego nie wyczuwaliśmy; zabrakło zaakcentowania elementów piekła. Dlatego całość nie zrobiła tego wrażenia, jakie powinna.

Poszczególne części Symfonii Haydna robiły wrażenie owych miniaturek dobytych ze skarbczyka dawności, które zaprezentowano z godnym pietyzmem, z obawą widoczną, by nie uronić niczego z jaśniejszego piękna. Oczywiście miniaturki mają swoich melomanów, nie głuchych na głos — dalekiej przeszłości. Adagio, miłe Andante budziło duże wewnętrzne zadowolenie.

Symfonia z Nowego Świata Dvoraka, reakcje subtelnej duszy kompozytora na objawy życia amerykańskiego, ma w sobie tajemny urok, który udziela się sugestywnie duszom słuchaczy. Dlatego zapewne ta Symfonia ma tylu specjalnych wielbicieli. Orkiestra Filharmonii Krakowskiej umie tę Symfonię zagrać. Umie dobyć z niej pełnie temperamentu, pełnię życia, podkreślić oryginalności rytmiczne, dobyć wszelkie walory dynamiczne. Toteż wykonanie skrzy się pełnią blasków piękna, osiąga wyżyny prawdziwego artyzmu. Largo-Scherzo przecudnie wykonane zasługuje na uznanie, zwłaszcza co do czystości brzmienia. Ogólne wrażenie zadawalniające. Oklaski rzęsiste.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

KĄCIK SZACHOWY NR 10

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

§ 8. O KARACH.

I. Gracz ma prawo żądać zastosowania względem partnera kary jedynie wówczas, gdy sam nie poruszył jeszcze żadnych ze swych bierek.

II. Roszada nie może być nigdy stosowana jako kara.

III. Nie można żądać jako kary nieprawidłowego ruchu pod sankcją utraty prawa reklamacji.

IV. Przed zastosowaniem jakiejkolwiek kary należy odtworzyć pozycję, która poprzedzała błędne posunięcie.

§ 9. O PRZEGRANEJ PRZYMUSOWEJ.

Partia zostanie uznana za przegraną dla gracza:

I. który rozmyślnie wywraca szachownicę lub rozrzuca bierki.

II. który odmawia podjęcia przerwanej partii we właściwym czasie oraz zgodnie ze zwykłymi zasadami turniejów i spotkań indywidualnych.

III. który odmawia spełnienia regulaminowego żądania przeciwnika.

IV. który podczas gry nie chce się stosować do przepisów lub do zarządzeń kierownictwa turnieju.

V. który przekroczy czas, przeznaczony do namysłu, bez względu na to,, czy jest obecny czy nie. Z wyjątkiem wypadków, spowodowanych siłą wyższą, uczestnicy turnieju winni pozostawać do dyspozycji kierownictwa turnieju.

§ 10. O POSŁUGIWANIU SIĘ ZEGAREM.

I. Jeżeli partia rozgrywa się z ograniczeniem czasu do namysłu, obowiązują następujące przepisy:

a) każdy z graczy winien zrobić co najmniej 30 ruchów w ciągu pierwszych dwóch godzin, oraz po 15 ruchów w ciągu każdej następnej godziny.

b) liczby te (warunki) mogą być zmienione regulaminem spotkania lub turnieju, w którym gracze biorą udział.

c) jeżeli zostanie udowodnione, że miał miejsce błąd (lecz nie niedbalstwo) w notowaniu czasu, omyłka winna być poprawiona.

d) z wyjątkiem wypadków, przewidzianych w przepisach niniejszych, grającemu nie wolno zatrzymać swego zegara przed zrobieniem ruchu.

e) jeżeli zachodzi powód do reklamacji opartej na niniejszych przepisach, kierownik turnieju zatrzymuje oba zegary i puszcza je w ruch po ogłoszeniu rozstrzygnięcia.

II. Jeżeli gracz przekracza czas, wyznaczony do namysłu, kierownik turnieju winien bezwzględnie uznać partię za przegraną przez tego gracza, nawet gdyby sprzeciwiali się temu obaj partnerzy.

III. W wypadku gdy przez nieuwagę lub rozmyślnie puszczony został w ruch zegar partnera, na którego nie przypada kolejność ruchu, nie wolno niepokoić graczy zwracaniem im na to uwagi. Świadkowi wolno natomiast zakomunikować swe spostrzeżenie kierownikowi turnieju lub jego zastępcy, którzy postąpią w sposób właściwy.

IV Jeżeli uczestnik spotkania lub turnieju nie stawi się na godzinę, wyznaczoną do gry, należy puścić w ruch jego zegar z chwilą, gdy przypadnie na niego kolej ruchu.

Czas, który upłynie do chwili jego przybycia liczy się jako czas namysłu.

V. Gracz, który bez ważnej przyczyny spóźni się więcej, niż godzinę, przegrywa partię.

VI. Jeżeli obaj partnerzy spóźnią się więcej, niż o godzinę bez ważnej przyczyny, uznaje się partię za przegraną przez obu.

§ 11. O PARTIACH PRZERWANYCH.

I. Przy przerwaniu partii, czy to granej z zegarem, czy też bez ograniczenia czasu do namysłu, ruch zapisuje gracz, na którego przypada kolejność ruchu w chwili przerwania.

II. Gracz zapisuje ruch własnoręcznie, umieszcza zapis w kopercie, zakleja ją, podpisuje ją swoim nazwiskiem, po czym oddaje ją niezwłocznie kierownikowi turnieju. Zegar jego może być zatrzymany dopiero po zaklejeniu koperty.

III. Dopóki partia pozostaje w zawieszeniu, graczom nie wolno zaglądać do koperty zawierającej zapis ruchu.

IV. W chwili przerwania partii obaj partnerzy winni się upewnić, że zarówno pozycja na szachownicy, jak i czas, wskazany przez oba zegary, zostały na kopercie dokładnie zapisane.

V. Z chwilą wznowienia partii, ustawienie pozycji na szachownicy, nastawienie zegarów na właściwy czas, otwarcie koperty, zrobienie zapisanego ruchu i puszczenie w ruch zegara partnera uskutecznia gracz, który zapisał ruch.

VI. Koperty, zawierającej zapis ruchu, nie wolno otwierać, jeżeli przeciwnik który ma na ten ruch odpowiedzieć, jest nieobecny. Jeżeli jednak nie stawi się on na godzinę, wyznaczoną do wznowienia partii, kierownik turnieju puszcza w ruch jego zegar.

VII. Jeżeli pozycja nie może być odtworzona lub jeśli (przy grze z zegarem) nie można ustalić czasu, który upłynął do chwili przerwy, partię się unieważnia.

VIII. Jeśli pozycja zostanie odtworzona niepoprawnie, należy unieważnić wszystkie późniejsze ruchy i odtworzyć właściwą pozycję. Gdyby to się okazało niemożliwym, partię się unieważnia.

§ 12. O PARTIACH Z WYRÓWNANIEM.

I. W serii partyj można dać przeciwnikowi wyrównanie w postaci ustąpienia prawa do pierwszego ruchu we wszystkich partiach.

II. Gracz, otrzymujący wyrównanie w postaci jednego lub kilku ruchów, winien je zrobić na początku partii, gdy przypada na niego pierwsza kolej gry.

III. Jeżeli otrzymuje się wyrównanie w postaci kilku ruchów, liczą się one przy ewentualnym obliczeniu czasu za takąż ilość ruchów, za jaką ilość ruchów liczy się pierwsze posunięcie gracza, dającego wyrównanie.

IV. Graczowi, dającemu piona lub figurę wyrównania, przysługuje prawo zrobienia pierwszego ruchu, o ile pierwszy ruch nie należy również do wyrównania.

V. Graczowi, otrzymującemu wyrównanie nie wolno przekroczyć bierkami linii środkowej szachownicy (na samym początku gry tylko oczywiście).

VI. Jeżeli wyrównaniem jest pion, albo pion i jeden lub kilka ruchów, należy zdjąć z szachownicy piona królewskiego gońca.

VII. Jeżeli daje się wieżę, gońca lub skoczka wyrównania, zdejmuje się zwykle figurę ze skrzydła hetmana, o ile nie było innej umowy.

VIII. Gracz, dający wieżę wyrównania, może roszować w stronę wieży, jak gdyby figura ta stała na swoim polu, byleby pole tej wieży nie było zajęte przez inną figurę.

CZĘŚĆ OGÓLNA

PROBLEM Nr 4

J. Sova („Nar. Osvob." 1937)

Czarne: Kb5, Gf2, Gg8, Sh2, Sh7, piony: f3, f6, f7 (8).
Białe: Kd8, Hg7, Wa4, Wa6, pion: c5 (5).
3-chodówka 5+8 = 13.
Mat w 3 posunięciach.

ROZWIĄZANIE STUDIUM Nr 1 (Herbstmann):

1. h7 S—h2+ 2. K—g2 (A) h3+ 3. K—g3 (B) W—g4+ 4. K×h3 S—f3! 5. K×g4! S—e5+ 6. K—f5 S—f7 7. K×f6 S—h8 8. K—g7 K—e7 9. K×h8 K—f8 (C, D) 10. f3! a4 11. f4 a3 12. f5 a2 13. f6 a1 H 14. pat!

(A) 2. K—g1? S—f3+ 3. K—f1 W—d1+ 4. K—g2 h3+ 5. K—g3 h2 6. h8 H h1 H czarne wygrałyby.

(B) 3. K×h3? S—f3! na korzyść czarnych.

(C) 9 . . . K—f7 10. f4! a4 11. f5 a3 12. f6 pat.

(D) 9 . . . K—f7 10. f3? a4 11. f4 a3 12. f5 a2 13. f6 K—f8 14. f7 a1 H mat.

PARTIA Nr 9:

Białe: P. Schmidt — Czarne: J. Türn

grana w turn. estońskim w Rewalu w r. 1936.

Angielska.

1. c2—c4 c7—c6	11. Wa1—c1 Wa8—c8 ²)
2. Sg1—f3 d7—d5	12. Sc3—b5 a7—a6
3. b2—b3 Gc8—g4	13. Wc1×c8 Hd8×c8
4. g2—g3 Hd8—c8 ¹)	14. Hd1—c1! Hc8—b8
5. Gf1—g2 Gg4—h3	15. Sb5—c7+ Ke8—d8
6. 0—0 Gh3×g2	16. Sf3—e5 Sd7×e5
7. Kg1×g2 Sb8—d7?	17. Gb2×e5 Kd8—d7
8. c4×d5 c6×d5	18. Sc7×d5 Hb8×e5
9. Gc1—b2 Sg8—f6	19. Sd5—b6+ Kd7—e6
10. Sb1—c3 Hc8—d8	20. Hc1—c8+ Czarne poddały się.

UWAGI:

1) 4 . . . S—f6 5. G—g2 G×f3 6. G×f3 d×c4 7. b×c4 H—d1 8. H—b3 H×a1 9. H×b7 K—d8! 10. 0—0!

2) 11 . . . a6!

Zamieszczona w Kąciku szachowym Nr 8 partia N. N.- Blackburne, grana w Bristolu w r. 1869 ma swego poprzednika bliźniaczego w partii Mayet-Hirschfeld, która była grana w r. 1861!

„DAWNIEJ — A DZIŚ..."

(Świat w zwierciadle „postępu")

Kiedy rojno i gwarno,
Odrzuć wszelką myśl czarną,
Nie myśl wtedy o cieniach żywota...
Lecz w samotnej godzinie,
Gdy w wspomnieniu zaginiesz,
Niech ci w serce się wkradnie tęsknota

W czas powracaj miniony,
Legend baśnią strojony,
W wydzwonionej przeszłości czar żywy
W mit — co tylko już tleje,
Romantyzmem się śmieje,
W świat — tak inny, choć niegdyś prawdziwy.

Wszystko było inaczej...
Niech ktoś tylko zobaczy
W starych księgach stronice pisane...
Ziemia — stała. A w koło
Gnało słońce wesoło,
Aż Kopernik ją puścił... w nieznane!

Ameryki nie było...
(I tak jakoś się żyło).
Z murzynami nie znano kłopotów,
Przyszedł Kolumb i z nudów
Dokazywać jął cudów:
Szpicem jajko postawić był gotów!

Nie wiedzieli ludziska,
Co się działo i z bliska...
Nic w sensację przez „prasę" nie rosło
Ani książek, ni gazet
Choćby w roku raz nawet...
Gutenberga skądś licho przyniosło!

Djabłu duszę sprzedawał
Pan Twardowski na kawał,
A w klasztorach braciszki kudłate,
Chcąc mennice zakładać,
Ten i owy jął badać,
Proch wynalazł i... zrobił armatę!

W domu ludzie siedzieli,
Jeździć za czym nie mieli,
Karocami się wlekli w gościnę,
Jął Stephenson majstrować,
Przyklepywać, próbować,
No i... szelma zbudował maszynę!

Miesiącami szły nieraz
Listy — nie tak, jak teraz...
Toć niejeden pisania poniechał.
Zapraszano na chrzciny,
To ktoś, z dalszej rodziny,
Ledwo na czas... na pogrzeb przyjechał!

Romantyczne to było,
Ale wnet się skończyło:
Klapa złotej zaczęła się ery,
Bowiem Morse niestety
Zrobił głupstwo — o, rety!
Kropkę z kreską powiązał w litery...

Jeszcze było za mało!
Bo się komuś zachciało,
Żeby nakląć swej świekrze z daleka,
Inżyniera znał Bella...
Ten pomyślał niewiela:
Jest telefon! Udręka człowieka.

...I trubadur z gitarą
Żadną więcej już miarą
Nie zarobił śpiewaniem na życie..
Gramofonu paszczęka
Uszy twoje dziś nęka:
Głos uwięził Edison na płycie!

Wonna, lotna benzyna,
Przestrzeń skracać zaczyna...
Automobil nad karkiem ci wyje,
A nad głową wysoko,
Kędy gubi się oko,
Rekord czasu samolot wnet bije.

Miałeś spokój w swym domu
I wśród ciszy ogromu
Cudne myśli po łbie ci chodziły..
Lecz Marconi się zbiesił,
Drut na dachu powiesił,
Radio-ci się drze wokół co siły!

Mogłeś w kinie po ciemku
Siedzieć z ręką na ręku
I dziewoi pleść bzdury do chrzanu,
Dziś jej szeptać się nie da,
Bo w tym cała jest bieda,
Że ktoś ciągle pyskuje z ekranu...

Na gór szczyty saniami
Ekspedycje szły z psami,
Ręce, nogi, odmroził ten, owy...
Dziś — w postępu godzinie,
Po stalowej mkniesz linie
Wagonikiem na same Kasprowy!

Bujał Verne w zaświatach,
Bawił całe nas lata
Nic nie biorąc na serio nieboże,
I w tym zrobił błąd gruby:
Z rakietami są próby,
A łódź pływa już dawno pod morzem.

Piec żelazny niemodny,
Kopci, mało wygodny,
I przeżytkiem żelazko z węglami,
Palisz, grzejesz i świecisz,
Czas rozkosznie ci leci,
Gdyś opasał dom cały kablami...

Czasem „stopka" nawali,
Przewód w sieni się spali,
A kuchenkę naprawiasz co chwilę,
Za to jesteś „moderny",
A to atut niezmierny,
Wśród nowości, wciąż których jest tyle

Jeszcze roczek, lub drugi...
Czas faktycznie nie długi
A zamilknie, z postępu kto szydzi;
Już nie ruszysz się z proga,
O la Boga, la Boga!
Telewizja świat całkiem ci zbrzydzi...

A jadł będziesz, mój panie,
Na swe pierwsze śniadanie
Piguleczkę, na obiad to samo,
Któż do stołu by siadał
I jak dawniej, zajadał!
Masz potrawę już skodensowaną!

Co wymyślą tam jeszcze,
Nie wiem... Czujesz wszak dreszcze...
Nie myśl lepiej... być może źle, z toba
Piękny kaftan ci włożą
I moc starań dołożą
Byś pewnego był domu ozdobą...

Głowę zwiesić wypada.
Na nic inna już rada...
Dziś-dzień także zaginie w przeszłości,
Biegu rzeczy nie wstrzymasz,
Bo i na to sił nie masz,
Ciągły postęp jest celem ludzkości...

Stef. Krasiński.



— Nie mogę schwytać na przynętę ani jednej rybki, woda jest zbyt mętna.
— Nic dziwnego, wszak pan już pół dnia moczy w niej swoje brudne nogi.

Rys. Gebürsch

ŚWIAT SIĘ

Pani wróciwszy z dłuższej podróży do domu, zapytuje swą służącą:

— Marysiu, czy zwracałaś, jak ci poleciłam, uwagę na to, kiedy mój mąż wieczorem kładł się spać?

— Tak, ale tylko pierwszego wieczoru.

— Dlaczego?

— Bo zaraz pierwszego wieczoru wyrzucił mnie z sypialni.

*

Karol siedzi w parku na ławce obok Izy. Po dłuższym milczeniu odzywa się do swej towarzyszki:

— Panno Izo, jestem właśnie na łowach za szczęściem.

Iza spojrzała na niego ironicznie:

— No, na bardzo namiętnego myśliwego pan nie wygląda.

*

Młody człowiek zakochał się do szaleństwa w córce bogatego kupca. Po długich wzdychaniach zebrał na odwagę i poprosił ojca dziewczęcia o rękę córki. Ten jednak oburzony zawołał:

— Co, takiemu chłystkowi miałbym oddać córkę mą za żonę? Ze służby wojskowej pana zwolnili jako zbyt słabego, a do małżeństwa miałbyś dość siły?! Jak pan ośmiela się w ogóle przychodzić do mego domu?! Najpierw trzeba mieć jakieś stanowisko i pozycję w świecie. Rękę mej córki może pan mieć ale tylko na policzku.

Młody człowiek wysłuchawszy tej całej perory zapytuje jąkając się nieco:

— Przepraszam, bo nie mogę się zorientować, czy słowa pańskie mam uważać za odmowę?

*

— Wczoraj 8 godzin bez przerwy pływałem w basenie.

— Wielka mi sztuka, ja to też potrafię.

— Pływać?

— Nie, opowiadać podobne historie.

*

— Dlaczegoś Franku zerwał z Lolą?

— Już mnie nogi zbolały od chodzenia do niej Mieszka na czwartym piętrze, a ja nie jestem przecież żadnym strzelcem górskim, ani turystą.

*

— Słyszałem, że ma pan dwóch synów bliźniaków, czy ma pan ich fotografie?

— Owszem, stoją na biurku.

— Ależ przecież na tym zdjęciu jest tylko jeden.

— Nie szkodzi, drugi jest taki sam.

*

ŚMIEJE



— Niech pan zdejmie swój kufer z tej półki, bo lada moment może mi zlecieć na głowę!
— Nic nie szkodzi proszę pana. Nie wiozę w nim nic takiego, coby się mogło potłuc.

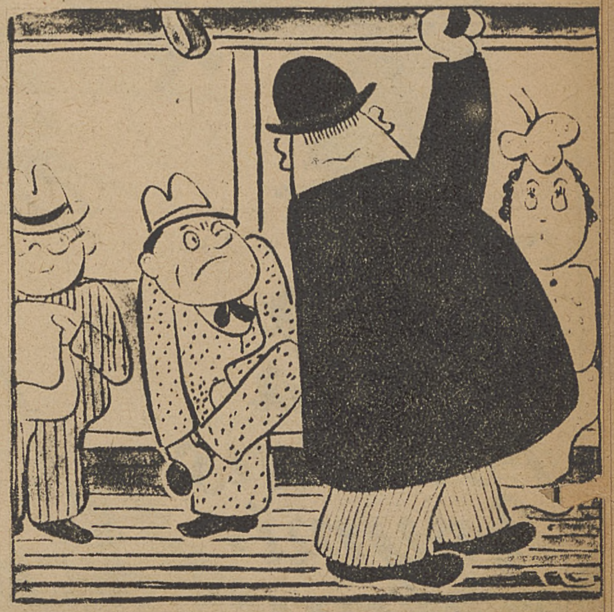
Die Woche



POD GAZEM

— Pierwszym i najlepszym będzie dla ciebie pójście do domu i przyznanie się do wszystkiego żonie.
— Dobrze — a jakie jest drugie najlepsze wyjście?

Rys. Zmudz.



— Do licha! Pan stanął na mój nagniotek!
— Niech pan będzie zadowolony, bo gdzie moja noga stanie tam już nic więcej nie rośnie.

Die Woche

Zosia czyta romans kryminalny

Koleżanki mówiły, że nie ma to, jak sensacyjna powieść detektywistyczna... Zosia kupiła więc na gwałt „frapujący“ romans „Zbrodnia o północy“, i gdy nareszcie wszyscy już śpią w domu, zasiada cichutko w swym pokoiku do lektury. Coś okropnego! Wystrzał rewolwerowy wśród gromowej nawałnicy, tajemniczy Nieznajomy, garbaty kataryniarz, kufer z poćwiartowanymi zwłokami młodej żony dyplomaty, „Czarna Lolita“ z baru pod „Zielonym Kotem“... Sławny detektyw na tropie bandy morderców i wreszcie ujęcie winowajcy, garbusa-kataryniarza, kochanka „Czarnej Lolity“. Straszne! I ktoby to był pomyślał, że właśnie on — a nie ktoś inny?





... Pan taki tajemniczy zawsze! Elegancki, światowiec ... Nie radzę panu zbyt często zachodzić pod „Zielonego Kota“ ... To się może dla pana fatalnie skończyć ! . . .



... W barze pod „Zielonym Kotem“ zgromadzoną była właśnie cała elita podziemnego świata. Nagły, ostry gwizd przeszył powietrze. Obława! — krzyknął „Łysy Hipek“, rzucając się do zamaskowanych w kącie drzwi.



... a za oknem majaczyła w mrokach nocy sylwetka ludzka. „Łysy Hipek“, mający dokonać pod bank podkopu obserwował każdy ruch tajemniczego Nieznajomego, by za chwilę ugodzić weń śmiertelnym ciosem sztyletu ...



... był już na śladach mordercy. W bagażowni dworca kolejowego odkrył zdeponowany dwa dni temu kufer z potworną zawartością. Były to zwłoki młodej żony dyplomaty, która zniknęła w niewyjaśniony sposób, poćwiartowane straszliwie. W biurze policji zapanowała konsternacja. Więc „Wielki Nieznajomy“ był tym sławnym ajentem śledczym?!



... Alibi zostało udowodnione! W burzliwą noc „Wielki Nieznajomy“ zabawiał się właśnie z „Czarną Lolitą“ w barze pod „Zielonym Kotem!“ Kto tedy tropił ślepego garbusa! Tajemnica ...

Fot: Eurofot



... W zdemolowanej ruderze na przedmieściu „nakryło“ wówczas bandę. Słynny detektyw w ostatnim momencie aresztował garbusa-kataryniarza, kochanka „Czarnej Lolity“ i herszta bandy, sprawcę zbrodni o północy.